Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 5. Października 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 36.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

Elizę Orzeszkową.

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, spieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy, bokami na chodnikach wązkich tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli z trudnością przesuwającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jej odzież, do których też przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy — stając na krótkie wypoczynki, z piersią dyszącą ciężko i kroplami potu występującemi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała ona w sposób podobny, śród tłumu spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów lub najgorętszym od skwarów murom domostw miejskich. To też, popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzec można, w łęk zgięła dość wysoka jednak jej postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz jej, okryta zgrubiałą i ciemną skórą, jak zżółkły i pomiędzy sterczące kości policzków głęboko wpadły jej wargi, jak splowiały oczy jej czarne znać niegdyś, i jak nad splowiałemi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, zmarszczona powieka. A na czole jej nizkiem, ciemnem, ileż zmarszczek! Nie ma tam nic, prócz zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięła ją i wyginała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tem włosów nie widać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która pomimo starości swej, zachowała jeszcze barwę gorącej żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtem tle tej chustki, a końce jej związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami na rękawach, plecach i piersi. Stopy jej, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie, skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spodnicy krótkiej, przybranej u dołu w strzępy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niej przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety tej? Ja znam ją zbliska. Imię jej — Chaita, zawód — łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczycie mi państwo, że zaznajamiać was śmiem z osobą zajmującą podobnie nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie mi, że jestto nieprzyzwoitem i całkiem niepotrzebnem z mej strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie uczuwaną wymawiacie wyraz ten...

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, ścisła, nierozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludzkością. Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwa — ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana pełna złoceń i ozdób, żaden gest białej dłoni pełnej pierścieni i wzgardy — nic nie mogą. Co się zaś tyczy nizkiego stanowiska, jeżeliby wysokości stanowisk ludzkich mierzonemi bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam państwa, że Chaita — łachmaniarka, stałaby na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jej... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich z pomarszczonemi czołami i drżącą, żółtą powieką przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galerji obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzażów i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jej źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jej uwiędłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli mej: jakąś była za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiodły cię nad brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historje, całe, od początku do końca historje wszystkich nizkich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych, pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresownem. Znajomość bowiem wielu, wielu historji podobnych, stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy zdrój mądrości. Smiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historji takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadej twarzy, z kruczym warkoczem i czarnem okiem, w którego płomienne głębokości

patrząc, można było myśleć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się na wsi—za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy bielały w zimie puszystem posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, śród niezabudek, wił się strumień dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznemi drzewami i barwisty mnóstwem kwiatów. Należał on do dworu, którego też własnością była biedna, mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił też synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — nie zbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat 15-stu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna i do młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej ostatniej przez całe życie wyglądał jak albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białemi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całemi, ogrzewana słońcem majowem, a ochładzana gałęźmi rozłożystego głogu, które powiewając nad nią niby wachlarze szeptały wciąż do jej ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niem kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnemi gwiazdami migotały odbiciem oczów wpatrzonej w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty rosnące w nim z zachwytem popatrzeć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni meczało kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowicie matka o zwiędłej twarzy i cierpiącem, łagodnem wejrzeniu, a przed progiem której zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie siedzącym na nizkiej ławie, siadywała ona także i na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgle kłębiącej się po łąkach, nakształt wód kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jej nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, nie wiedzący. Mgła, tak gęsta jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczami ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czemś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żałowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciąglej, coraz smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze — w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec z długą, rudą brodą i okiem posępnem nieco pod zbrużdżonem czołem, modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniej, coraz żarliwiej, z coraz jękliwszemi i spieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z pierwszem wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tem wszystkiem Chaita, a może i z czemś więcej jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad któremi kołysała się u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym, szeroko śród marzenia rozwartym jej oczom urodziwego młodzieńca jakiego z miękką dłonią, namiętnem okiem, a czołem jaśniejącem mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała jak nieraz ojciec jej opowiadał jej braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królewną, aby marzyć o szczęściu... Marzą o niem może i te bosonogie żydóweczki w podartej odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwie - sennych swych oczów...

Szczęście! Quel animal est-ça? — mogłaby dziś, gdyby umiała po francusku, zapytać Chaita. Ale ona nie umie po francuzku, w rodzinnym więc tylko bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!"

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z niemi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, śród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruchę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiędłych twarzy, nad którémi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet niezrozumiane głosy, widoki, pieszczoty swobodnej, świeżej przyrody..

Co tu czynić, ażeby żyć, mężowi, którego obrazu nie ukazywały jej wprawdzie srebrne fale strumienia — w ciężkiej pracy dopomódz, dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszem gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, któremi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety garbatej z przodu i z tyłu, potem roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jej kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą, potem jeszcze...

Lecz nie będę państwu opowiadać dłużej, czem była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jedną tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła ona na cmentarz — na ów cmentarz izraelski, który tam o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, śród nizkiego, ceglanego ogrodzenia sterczy lasem czerwonawych kamieni. Chaita chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną, drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita zanosiła się zwykle od płaczu, a kiedy potem, z przechadzki tej do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcej. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jej, który był dla niej bardzo dobrym, matki mieszkającej przy niej na starość, syna, który brylantem był w wypłakanem jej oku, córki która jak róża kwitła w cierniowym jej wianku...

Jak się to zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni umarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań zapomnieli o niej...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież, niekiedy nawet wyrzucane przez okna domostw stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze odeń nabywcom i — żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym nie ma, coby zgasłe oko jej rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radosny? Mylicie się! Spojrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwa się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany domostw wyciera, a płytkie obuwie jej co chwilę o ostry kamień zaczepia się i z nóg jej spada tak, że zatrzymuje się ona i z gniewnem mruczeniem coraz w nie na nowo stopę swą w sinej pończosze wsuwać musi Spojrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtej chustce, oko jej strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem, zawołała:

— Chaimkie! nu! Chaimkie!

Mały, sześcioletni chłopak przebiegający ulicą, usłyszał jej wołanie, przypadł do niej, zarzucił oba ramiona na schyloną jej szyję, pocałował głośno zmarszczone jej czoło i wnet odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych ineksprimablach i zielonej bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba było; portretowi jego wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

(C. d. n.)

LISTY O SZLĄZKU.

przez

F. JESKE-CHOIŃSKIEGO.

II.

(*Ciąg dalszy.*)

Kiedy Szlązk po śmierci ostatniego Piastowicza przeszedł na własność cesarzów austrjackich, zamarło w nim do reszty życie słowiańskie. Dolny Szlązk zniemczał zupełnie; dolny Szlązk nie może nas jako prowincja niemiecka nic obchodzić. Jakie koleje Górny Szlązk po śmierci Piastowiczów przechodził, powiedziało się na początku tego listu. Siedm wieków tedy był Górny Szlązk oderwany od wspólnej macierzy, a przecież nie wymarło w nim życie rodzime. Jestto objaw, który spotykamy tylko jeszcze w Czechach i Irlandji. Życie rodzime tliło na Szlązku przez wiele wieków, aż je niedawne czasy burzliwe w szeroki i wysoki płomień rozdmuchały. Gdzież powód? Pierwszy powód podałem już; zdaje się, że on prawdziwy. Za czasów Piastowiczów nie był jeszcze lud prosty — człowiekiem. Nikt się tam chłopem nie zajmował, nikt nie pytał o jego język, zwyczaje i tradycje; mógł zatem zostać wiernym swojemu początkowi. Kiedy Górny Szlązk przeszedł po śmierci ostatniego Piasta w inne ręce, stał się kopciuszkiem panów. Podawano go sobie z rąk do rąk, zamieniano go, zostawiano i znów nie było czasu do pracy reformatorskiej, bo zanim się którykolwiek książę zagrzał na tronie Piastów, juźci musiał ustępować komuś innemu. Żaden z nich nie miał czasu do zajęcia się ludem, do przypatrzenia się temu ludowi, który był inny od panów swoich. I tak ocalał Górny Szlązk prawie cudem wskutek zmiennych swych losów. Bierność stanu włościańskiego, bezwartość jego polityczna, pomogła oczywiście także do status quo przed wiekami. Dopiero, kiedy Górny Szlązk pod panawanie Prus się dostał, rozpoczął się i tu ruch germański. Prusy są nieubłagane w celach politycznych. Gdzie nie można gwałtownemi środkami, tam zaczynają pracę górników politycznych, wolną ale pewną: minują, podkopują stopniowo, aż swego dopną. Fryderyk II., zagarnąwszy Szlązk, próbował środków radykalnych. Wydał szereg rozporządzeń, które dziś zadziwiają barbarzyństwem. Oto zakazał księżom, aby nie dawali nikomu ślubu, ktoby nie umiał po niemiecku. Zakazał brać po polsku mówiących do urzędów, tak iż nawet stróż nocny Niemcem być musiał. Katolickich oficerów ze Szlązka posyłał do prowincji protestanckich, a protestantów nasyłał Szlązkowi, chcąc aby się wzajemnie żenili. Lecz ta machiawelska polityka nie trwała długo, bo Fryderyk II. umarł, a następcy jego puścili znów Szlązk w niepamięć, uważając lud prosty i mniejsze mieszczaństwo za nic nie znaczący czynnik w życiu politycznem. Dopiero w najnowszych czasach, kiedy się w r. 1831 ruch z dołu w całej Europie poczynał, kiedy się i Górny Szlązk sobą poczuł, zaczęła się presja z góry. Odtąd rośnie walka między żywiołem słowiańskim a niemieckim z każdym rokiem, a w ostatnich latach od czasu walki kulturnej zaostrzyła się ta walka w palącą kwestję polityczną. Niemcy zrozumieli nareszcie, że miljon głosów równa się dwudziestu kilku krzesłom poselskim. Zaczyna się teraz prześladowanie na wysoką skalę. Chodziło nasamprzód o to, aby żywioł słowiański zohydzić. Każdy urzędnik, zacząwszy od sędziego na sądach, a skończywszy na ostatnim policjancie, wyśmiewał i przedrzeźniał górnoszlązkiego chłopa. Język rodzinny był językiem gminu, chłop górnoszląski to głupiec, pijak, bydlę! tak uczono dzieci w szkole, tak prawiono parobczakowi, kiedy służył wojskowo. A inna sprawa z ludem, który ma „samowiedzę“ przeszłości politycznej, który ma tradycje „własne“, inna rzecz ze stanem, który był biernem narzędziem, a nie miał nawet intelligencji swojej, coby go broniła albo pouczała. Chłop górnoszlązki nie widział „pana“ mówiącego jego językiem Dziedzic, rządca, urzędnik, słowem wszystko, co należało do stanów wyższych, mówiło po niemiecku, było Niemcem. Ksiądz i nauczyciel, wielkie powagi u chłopa, to Niemcy; tylko on, ten biedny, wyśmiany chłop nie mówił po niemiecku. Łatwo wyrobiło się pojęcie, że niemczyzna jest czemś lepszem, że daje prawo do godności krajowych, do obywatelstwa. Takie pojęcie panuje w Górnym Szlązku dotąd mimo codziennych twierdzeń naszych publicystów, którzy z daleka, nie przypatrzywszy się krajowi wołają: życie narodowe tam pulsuje! Gdzie się człowiek nie wstydzi swej narodowości, gdzie mimo wrogiej presji odpiera dumnie i samowiednie ataki nieprzyjaciela, tam jest polityka odrębna, a chłop górnoszlązki uważa Niemca dotąd za coś lepszego, za wybraną istotę, za pana, siebie zaś za proletarjusza kraju, za juczne bydlę, ciągnące jarzmo pana.

Powyższe spostrzeżenia powinno być podstawą wszystkich agitacji. Na Szlązku nie może być dotąd mowy o odpieraniu ataków, ale tylko o rozbudzeniu chęci do takiej walki. Tego nie rozumieją publicyści Poznania, kiedy żądają od przywódzców szlązkich, aby np. obierali posłów z Księstwa do parlamentu niemieckiego. Jestto dotąd mrzonką polityczną na Szlązku. Jeśli powiat bytomski wybrał księdza księcia Edmunda Radziwiłła, to nie Radziwiłła Polaka, ale Radziwiłła ultramontanina, a więcej jeszcze... kuzyna królewskiego domu. Trudno obszerniej o tem mówić; sapienti powinno być sat, bo ten sapiens powinien się domyślić, co chcę powiedzieć.

Faktem jest, że Górno-szlązak nie ma dotąd żadnego poczucia narodowo polskiego, a tem mniej łączności np. z Księstwem. Stanowi on dotąd materjał surowy, wdzięczny wprawdzie dla polityka, ale zawsze.... surowy, gdy chodzi o politykę polską w naszem rozumieniu. Agitacje biurokracji pruskiej wydały tu obfite owoce, bo zniemczyły miasta większe i mniejsze. Mieszczanin górnoszlązki wstydzi się języka i imienia swego ojca; język zamienia na niemiecki, a imię skoszlawia najczęściej bardzo śmiesznie. Takie same stosunki panują między inteligencją krajową, którą stanowią księża i nauczyciele, reszta bowiem inteligencji jest albo od wieków niemiecka, albo napływowa, a także niemiecka. Ksiądz i nauczyciel rekrutuje się tu najczęściej z chłopów. W chatce ojca swego nie mówił ani słówka po niemiecku, ale poszedł do szkół, a tam nagadano mu tyle o germańskiej kulturze, że chłopiec uwierzył, ucząc się gardzić domkiem ojców. A w domu, dokąd jedzie na wakacje, nie ma nikogo, coby go inaczej pouczył, nie ma księdza ani doktora, dziedzica ani sędziego swego plemienia, którzyby rozrywali budowę niemieckiego wychowania. Inteligencja pomaga wychowawcom, a rodzice, prości ludzie, umiejący zaledwo czytać, gapią się na synka, co do szkół chodzi i zamorskiemi mówi językami, bo ma „Bildung,“ czego ojcowie nie mają. Odwrotnie — nie rodzice prostują błędne pojęcie dziecka, ale syn koszlawi dawne ojców tradycje, boć syn wykształceńszy od rodziców! I tak dzieje się, że się chłopskie dziecko, skoro tylko wołoszkę złożyło, czemprędzej swego pierwiastku wyrzeka, a reszty dokonywa uniwersytet lub seminarjum nauczycielskie. Inteligencja szląska, wyszła z ludu, szereguje się w silny zastęp najgorliwszych krzewicieli germanizmu. Pytasz się księdza, którego ojciec ani słówka po niemiecku nie umiał: czem jesteś? — Prusakiem! — odpowiada. Ależ twoi rodzice? — odpierasz. Moi rodzice byli prostakami, ale mnie zrobiła kultura Niemcem, albo lepiej — wyniosła do godności Niemca. Za księżmi i nauczycielami idzie reszta mniejszej inteligencji: małomiejskie urzędniczki, kupczyki i t. d. Sadzi się tu każdy na niemczyznę, kto chce uchodzić za wykształconego, cywilizowanego człowieka. Idziesz ulicą — przechodzi chłop — pozdrawia cię: Guten Morgen naprzód, potem dopiero „dzień dobry.“ Ileż to trudów ponosiłem, zanim mnie chłopi naszem „niech będzie pochwalony“ pozdrawiali, opuszczając obrzydliwe Gut Morgen. Jedziesz w drogę i mówisz z towarzyszem po po polsku; woźnica odwraca się ciągle, myśląc, że podróżny do niego mowę zwraca, bo nie może pojąć, jak „pan“ może po polsku z drugim panem mówić, a gdy się przekonał, że (panowie) rzeczywiście tym samym między sobą językiem mówią, co i on, wtedy potrząsa głową, bo jeszcze nie wierzy. Byłem na kilku zgromadzeniach ludowych. Komisarz policyjny pytał mnie o nazwisko; chłopi słyszeli nazwisko szlacheckie po niemiecku z tytułem rodowym wymienione i nie chcieli wierzyć, że ten „grafik“, jak tu szlachcica nazywają, po polsku mówi. Ale gdy się do nich publicznie przemówiło, co więcej, gdy usłyszeli, że nawet między sobą z Miarką po polsku mówiliśmy, wtedy rozczulili się nieboracy i płakali. Stara babinka przywlokła się o kulach do mownicy i dotykając się czamarki mojej, mówiła z płaczem: niech się jasny panoczek nie gniewają, ale ja stara, ja niedługo pod ziemię się skryję, więc pewno już nie zobaczę takiego panoczka, co tak pięknie po naszemu rządzą (mówią). Materjał jest, powtarzam, ale surowy. Potrzeba tu naszej inteligencji, aby dała ludowi samowiedzę politycznej odrębności, broniąc go od głupstwa germanizacji.

F. Jeske-Choiński.

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

(*Ciąg dalszy*).

V.

Dalej w góry. — Ląd i Lillahamer. — Noc w hotelu. — Gore! — Droga do Listad. — Miłe spotkanie w Kirkesten. — Gdzie naszych nie ma? — I jeszcze raz Chrystjania.

Lillahamer leży na wysokiej górze. Chcąc się do miasta dostać, musisz, mój podróżniku, drapać się pod górę, aż cię nogi dobrze zabolą. Jeżeli zaś chcesz oszczędzać nogi, a pieniądze

*

wyrzucać, możesz nająć jednokonny wózek, który cię za kilka szylingów do miasta dowiezie. Codziennie podczas przyjazdu i odjazdu statków parowych, masz takich wózków w przystani pod dostatkiem, a że ruch pasażerski na Miösen jest znaczny, przeto właściciele tych wózków niezłe robią interesa.

Ja idę do miasta piechotą, niosąc mój pakunek na ramieniu i błogosławię stromą drogę, jak umiem. Droga ta wije się przedemną wężykowato i w pół godziny nareszcie doprowadza mnie do miasta. Jest wieczór jasny i pogodny, przedemną mieścina nie wielka i uboga, a w dali wspaniałe jezioro, którem dopiero co opuścił: co tu robić z czasem? Wskazują mi najlepszy hotel Ormsrud, staję więc w nim i wychodzę po chwili do jadalnej sali, gdzie licznie zebrane towarzystwo spożywa kolację. Gwarno tu i huczno aż miło, tak jak w wielkiem mieście. Przy dwu stołach w sali, siedzą rzędami obojej płci goście, a języki całego niemal świata, dają się słyszeć w tem zebraniu. Nad wszystkiemi jednak dominuje język angielski, którego ja na nieszczęście nie umiem.

Mój towarzysz jednak z lewej strony, mówi bardzo nędznie po niemiecku, zawiązuję więc z nim rozmowę, ale po chwili dochodzę do przekonania, iż kto źle mówi pewnym językiem, lepiej robi gdy usta zasznurowane trzyma.

Gdybym przybywszy do Lillahamer znalazł się był w towarzystwie rozumiejącem mnie dobrze i przezemnie rozumianem, naturalnie, że byłoby nie darowaną rzeczą, gdybym je po krótkim pobycie porzucił. Że jednak trafiłem tak nieszczęśliwie, iż do nikogo ust otworzyć nie mogłem, przeto nic dziwnego, że spożywszy moję *fisk* (rybę) i wypiwszy kufelek *öl* (piwa), wycofałem się dyskretnie do mojego pokoju, gdzie nie mając nic lepszego do roboty, po przeczytaniu paru kartek niemieckiego Przewodnika po Norwegji, powierzyłem się opiece najlepszego z bogów nieśmiertelnych, bo Morfeusza. Niestety, po wieczorze źle spędzonym, w nocy pociechy nie zaznałem, około bowiem północy przebudził mnie hałas na ulicy. Podnoszę się z łóżka i wychylam głowę przez lufcik.

Zewsząd słyszę wołania: *ild, ild!* (ogień, ogień!).

Masz tobie, myślę, pożar gdzieś wybuchnął; może sławetny Ormsrud nawet zgorzeć: niechcąc zatem upiec się w tym ogniu, ubieram się coprędzej, biorę pakunek w rękę i za chwilę jestem na dole.

— A pan gdzie wyjeżdża o tej porze? — pyta mnie po niemiecku szwajcar.

— Jakto gdzie? Przecież się pali, może hotel spłonąć.

— Ale co znowu, my tu jesteśmy bezpieczni. Palą się stogi siana za miastem, ale ogień już opanowano. Wracaj pan do numeru i spij spokojnie. *God nat* (dobranoc).

— *God nat* — odpowiadam i powracam do siebie.

Rozebrać się i powtórnie położyć do łóżka, było już rzeczą jednej chwili, tak też uczyniłem i powstałem nazajutrz dopiero wtedy, kiedy ruch i hałas na korytarzach wskazały mi, że już wszystko co Boga chwali znajduje się na nogach.

Była niedziela. Słońce zrobiło już dobry łuk na sklepieniu niebieskiem, kiedy spożywszy śniadanie z jaj na miękko i bulionu złożone, zdecydowałem się wyjść na świat i ostatecznie obmyśleć, co mi z osobą moją robić wypada. Po niedługim namyśle powiedziałem sobie, że świętować w Lillahamer nie warto i że należy ruszać w góry.

Jak ruszać?

Miałem do wyboru dwa sposoby: albo na własnych nogach, albo na karjoli; wybrałem pierwszy, był bowiem o wiele od drugiego tańszy.

Dalej więc w góry!...

Zanim jednak puszczę się na północ, przedewszystkiem wypada mi choć paroma słowami pożegnać Lillahamer. Otóż powiem, że miasto to wzniesione jest na 1827 stóp nad poziom morza i liczy 1700 mieszkańców. Ponieważ przez Lillahamer przechodzi wielki, handlowy trakt z Chrystjanji do Drontheim i tu noc zawsze przepędzić wypada, przeto mamy tu aż trzy hotele (Ormsrud, Hammer i Victoria), które prawie nigdy na brak gości nie narzekają. Okolice miasteczka są piękne, nie zasługują przecież na bliższe poznanie. O ćwierć mili mamy malowniczy spadek małej, przepływającej przez miasto rzeczki Mesny, który to spadek widzieć warto. Zresztą nic już więcej w Lillahamer nie zatrzymuje uwagi turysty.

Z Lillahamer (jak mi przewodnik powiada). mamy do Listad przeszło sześć mil, postanawiam więc tę drogę rozłożyć na dwa dni i wyruszam z miasta.

Zaledwie opuściłem rogatki miejskie, oko moje uderzył prześliczny krajobraz; naraz bowiem znalazłem się jakby we wrotach wysokich gór, ciągnących się łańcuchem bez końca. Środkiem tych gór biegnie wężykowata droga, miejscami tak wąska, że dwa wozy minąćby się nie mogły, a po lewej jej stronie szemrze uroczy strumień, tocząc swe błękitne, spienione wody do rozwartej paszczęki Miöseńskiego jeziora. To Laagen, nie wielka ale wartka rzeczka, przyjmująca znowu gościnnie w swoje objęcia wszystkie strumienie i ścieki górskie.

Naturalnie, przy tylu przepysznych widokach, jakie co krok na tej drodze cię spotykają, iść szybko w żaden sposób nie można. Wszystko tu bowiem jest dla ciebie nowem: i góry i rośliny i ludzie, ze wszystkiem też się poznajomić pragniesz; wszystko do ciebie przemawia językiem nieznanym wprawdzie, ale tak sympatycznym i wdzięcznym, iż wsłuchiwać się godzinami bierze cię chęć w tę harmonję uroczą, mimo to, że przed tobą nieznane strony, które cię bogatszemi daleko skarby obdarzyć jeszcze mają.

Bo to com wyżej powiedział o Miöseńskim jeziorze, stosuje się w zupełności i do gór okalających drogę do Listad, a nawet jak się później o tem przekonałem, pod pewnym względem i do krojobrazów Thelemarken. Nie ma tu we wszystkiem tem, czem cię południowej Norwegji natura darzy, grozy i trwogi, ale spokój jakiś uroczy i dziwny, który wabi, pociąga, przykuwa. Rzekłbyś że spogląda z tego wszystkiego ów Bóg skandynawski, wielki, potężny i majestatyczny, ale pociągający więcej, niż odpychający od siebie. Panuje on bo też tu harmonją i miłością.

Mimowoli jakoś przychodzą mi na myśl Tatry ze swemi: Morskiem Okiem, Doliną pięciu stawów, Czarnem jeziorem i Zawratem, przypomina mi się stroma i straszna droga na Czerwony Wirch, lub szczerb Giewantu przerażający.

Przypominam to wszystko i ponownie powtarzam, że mi tu lepiej i pogodniej, że dusza ma pije tu jakiś balsam ożywczy, a wyobraźnia szalonych złudzeń nie tworzy. Tatry moje, więc mi są naturalnie droższe, ale te góry Gudbransdolu milsze są jakoś i sympatyczniejsze od Tatr. Teraz nawet gdy piszę te wspomnienia, dusza ma rwie się ku wzgórzom Norwegji i rada gdy tam przebywać może. Więc niech tam idzie, bo to co od czasu pobytu w tych miejscach przeżyłem, każe mi jakoś szukać spokoju i ulgi... A tam daleko na północy miałem był pod dostatkiem tego spokoju podówczas, kiedym go tak, jak dziś, jeszcze nie potrzebował. Więc niech tam idzie...

Idąc powoli, ale ciągle naprzód, spotykam lud wiejski podążający z okolicznych miast do kościoła w Lillahamer. Była niedziela, więc wszystko to się ubrało odświętnie. Mężczyźni przyodziani w długie guzikami nabite surduty, postępowali poważnie około swoich kobiet, których ubior pstrokaciej wyglądał. Wprawdzie ta pstrokacizna nie była tak rażąca, jak np. u kobiet spotykanych później w Thelemarken, ale zawsze drażniła moje oko, nie przywykłe do podobnego widoku. Kolory żółty i niebieski łączyły się tu dość niesmacznie z czerwonym, a szyje wszystkich powleczone były sznurami różnokolorowych korali. Na głowie chustki w rodzaju zawojów dopełniały całości.

Każdy mężczyzna i kobieta zaopatrzeni byli w duże książki do nabożeństwa. Nieśli je widocznie, a kiedy przechodzili koło mnie, to mi się zdało że oczami zdawali się pytać: „Kiedyto w twojej ojczyźnie lud na książkach modlić się będzie umiał?“

Kiedy?... I ja nieraz zadawałem sobie to pytanie, i ja nieraz wytężałem oczy, jak gdybym chciał przejrzeć grubą zasłonę oddzielającą mnie od przyszłości i dostrzedz choć zdala tę epokę, kiedy to nad brzegami mojej ukochanej Wisły, lub na rozkosznych wzgórzach krakowskiej ziemi, lud mój pracowity i skrzętny, na książce czytać się nauczy; kiedy z tych martwych, ustawionych w szereg jak żołnierze liter, dowie się jak Boga chwalić, jak się od biedy oganiać, jak ogólniejsze potrzeby kraju odczuwać. Ale instynkt jakiś dziwny mówił mi, że to daleka jeszcze chwila, że dużo jeszcze, dużo wody potoczy się korytem naszych rzek królowej, do burzliwego Bałtyku, zanim poziom umysłowy naszego kraju wzniesie się do tych wyżyn, na jakich się znajduje poziom Norwegji.

Bo rzeczywiście Norwegja jest bardzo oświeconym krajem. Wędrując tu i owdzie przekonałem się o tem; rzadko znaleść w tym kraju człowieka, któryby czytać nie umiał, a bardzo często natrafisz pomiędzy chłopami na takich nawet, którzy kilka klas pokończyli. Książki też rozchodzą tu się masami po kraju a pisma perjodyczne wciskają się pod strzechy włościańskie.

Nadewszystko też oświata ludowa rozwinięta jest we wschodniej części Norwegji. Rozsiedli pomiędzy gęstemi lasami, włościanie tamtejsi odznaczają się wielką zamożnością, a że po większej części za bogactwem idzie oświata, przeto nie żałują szylingów na kształcenie dzieci swoich. Opowiadano mi, że synowie pewnego chłopa z nad granicy szwedzkiej kończą uniwersyteckie studja w Chrystjanji a jeden z inżynierów norwegskich urodził się w chacie prostego bondy z tamtych stron.

Co prawda, to te chaty chłopskie wyglądają na nasze dworki szlacheckie. Spotykałem ich wiele po drodze do Listad, mogę więc zapewnić, że w niczem tym ostatnim nie ustępują.

Zbudowane z drzewa, pokryte dachem gontowym, z zewnątrz już wabią do siebie przechodnia, a wewnątrz odznaczają się tem wygodnem urządzeniem, jakiego długo jeszcze zapewne nie zazna nasz polski włościanin. Powodowany więcej może ciekawością niż potrzebą, zachodziłem do tych chat, w każdej jednak, której próg przestąpiłem, znajdowałem dostatek i ten konfort, jaki cechuje u nas po wsiach ludzi średniej klasy i średniej zamożności.

I tak: wszedłszy do chaty takiego bondy, masz najprzód dużą sień, od której drzwi na lewo i na prawo prowadzą. Na lewo kuchnia, spiżarnie i schowanko na różne potrzeby gospodarskie, na prawo pokoje mieszkalne. Tam panuje *frue* (kobieta) z całym swoim fraucymerem dziewek folwarcznych, tu przemieszkiwa mąż i pan domu, z synami i krewnymi swymi. Urządzenie pokojów mieszkalnych jest skromne, ale porządne. Sprzęty gospodarskie ustawione symetrycznie, obrazy Chrystusa i widoki górskie porozwieszane na ścianach, nierzadko pułki z książkami; mile to wszystko uderza oko, a zdziwienie podróżnika wzrośnie, jeżeli tu i owdzie dostrzeże przytulony do okna jaki stary fortepian, na którym w niedzielę córki gospodarskie wygrywają melodje norwegskie.

Na takich i tym podobnych obserwacjach przyjemnie mi czas schodzi i ani spostrzegam, jak słońce, obiegłszy łuk niebieski, zaczyna się spuszczać ku zachodowi. Uszedłem już co prawda mil kilka, minąłem Fassegaarden i Holmen, ale Kirkestnen, gdzie zamierzam nocować, jakoś jeszcze nie widać. Mój niemiecki przewodnik mówi mi, że do tej miejscowości już mało co więcej jak mila, a ja już ze dwie godziny po wypoczęciu w Holmen idę, i końca drogi dopatrzeć się nie mogę. Wprawdzie idąc zatrzymuję się ciągle, bo widoki mam coraz piękniejsze, przecież u celu mojej dziennej podróży stanąć już powinienem. Niepokój mój wzrasta tem silniej, ile że zegarek wskazuje piątą godzinę po południu, zatem już od ośmiu godzin jestem prawie bezustanku w ruchu. Co podnosi moje niezadowolenie, to ta okoliczność, że się tu na tej drodze z nikim rozmówić nie mogę. Każdego kogo spotkam zaczepiam słowami:

— *Til* (do) *Kirkestne?*

— *Halv mil* (pół mili)—odpowiadają wszyscy i idą w swoją stronę.

A mnie tu te *halv mil* wcale się nie kończy. Nareszcie na szczęście się skończyło. Około godziny szóstej dostrzegam w dali jakieś jezioro, dalej płot i kominy, a jeszcze dalej grono ludzi odzianych po europejsku. W ucho moje zaczynają wpadać gardlane dźwięki angielskie. No, dzięki Bogu, myślę sobie, jestem w Kirkestne.

Istotnie jestem w Kirkestne.

„*Zdala już, zdala widzę że stolica*“—przyszedł mi na myśl wiersz Mickiewicza, istotnie bowiem Kirkestne na tle kilkomilowego otoczenia swego wygląda jakby na stolicę jakiego lilipuciego państewka. Poczynając od Lillahamer, na całej drodze spotykałem zaledwie pojedynczo porozrzucane domki; rzadko gdzie rozsiadły się nie parami, a już trzech obok siebie, nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać. Tu na około obszernego i widnego podwórka ustawiło się wkoło aż kilka takich domków, a jedne od drugich piękniejsze. Widocznie, pomyślałem, miejscowość ta stworzona dla wypoczynku; przepędzę zatem tu noc, a nazajutrz wyruszę dalej na północ do Listad.

A wypoczynku też, otwarcie mówiąc, bardzo pragnąłem. Zrobić cztery mile na dobę, tj. tyle ile dobry pruski piechur, a do tego po kamienistej drodze, no to nie każdy potrafi, nie gniewałem się więc wcale, gdy po spożyciu skromnej kolacji, ofiarowana mi została za całodzienne trudy nagroda, w postaci dobrze usłanego łóżka, na które też bez namysłu rzuciłem się, marząc o tem com już widział i co mi jeszcze do widzenia pozostawało.

„A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi,
Blask latarek i wnijście kilkadziesiąt ludzi“

pisał kiedyś nasz największy wieszcz o Soplicowskiej szlachcie. I o mnie coś podobnego napisaćby wypadało.

Słońce już bowiem nazajutrz dawno pozłociło szczyty Gudbrandsdalu, przyjezdni Anglicy już dawno wyruszyli w drogę, a ja znużony wciąż spałem i spałem, tak iż to zaczęło niepokoić posługującą w zajeździe dziewczynę.

Przemógłszy więc dziewiczy swój wstyd, przez otwarte drzwi mojego pokoiku (drzwi na noc w Norwegji nigdzie nie zamykają) podeszła ku mnie i śmiejąc się do rozpuku, zaczęła na cały głos wołać:

— *Gud Morgen. Hvordan har De?* (Dzień dobry, jak się pan masz?)

Chrapowate dźwięki jej głosu w związku z wybuchami wesołości przebudziły mnie nareszcie. Roztwieram oczy i widzę przed sobą uroczą rusałkę, dziewczę szesnastoletnie, jasnowłose i smagłe, w ubiorze skromnym ale porządnym, z fartuszkiem na szarej spodniczce.

Dziewczyna wciąż się śmieje.

— *Hvad er klokken?* (która godzina)—pytam.

— *Klokken er en* (pierwsza godzina) odpowiada, nie przestając się śmiać.

Czy to być może, pomyślałem i chwytam za zegarek. Roztwieram kopertę, patrzę istotnie — pierwsza godzina. No, pomyślałem sobie, to mi się tak długo nigdy jeszcze spać nie przytrafiło i w tejże samej chwili odwróciłem się by dziewczynie choć oczami powiedzieć, dlaczego ja tak długo spałem, ale ledwiem zegarek na swojem miejscu położył, furknęło coś w pokoju i moja rusałeczka zniknęła jak jaki sen złoty Słowackiego.

Ubrać się, umyć i zejść na dół do gościnnego pokoju, było rzeczą jednej chwili.

W obszernej izbie na dole zastawione już czekało na mnie śniadanie. Śniadanie to, skromne, składało się z chleba, jaj, sera owczego, maleńkich morskich rybek i wybornego norwegskiego piwa, jakiemu równego pod względem smaku, nie zdarzyło mi się pić nigdzie w Europie. Piwo to, wyrabiane w Chrystjanji stanowi jedyny trunek powszechnie używany w całym kraju; gdy bowiem wódka jest tam prawie zakazana, trunek ten, nader mocny, zastępuje inne, szkodliwe dla organizmu spirytualja.

Przy stole zastałem jakiegoś nieznajomego. Średniego wzrostu i ujmujących rysów, wyglądał on raczej na tubylca, niż na podróżnego. Nie sądząc, abym z nim mógł się porozumieć, usiadłem na przeciwległym końcu stołu i zacząłem spożywać w milczeniu zastawione przedemną dary Boże.

Nieznajomy wpatrywał się we mnie uważnie, jak gdyby z twarzy mojej chcąc wyczytać kim jestem. Pragnąłem napić się piwa. Sięgnąłem po butelkę, która stała na środku stołu. Natenczas wstał on, podsunął mi butelkę i grzecznie rzekł:

— *Ich bitte.*

— *Ich danke* — odpowiedziałem i na tem się urwało.

— Ale już pierwsze lody pękły. Mój nieznajomy nie dawał za wygranę.

— *Sie sind ein Deutscher?* — zapytał.

— *Nein, ich bin ein Pole.*

— *Und ich bin auch ein Pole.*

— A więc — zawołałem radośnie — jeżeliśmy obaj Polacy, to mówmy ze sobą po polsku.

Nastąpiła rekomendacja.

Mój nieznajomy nie był jak się okazało podróżnikiem, ale kupcem osiadłym w Chrystjanji. Zwał się Wojciechowski. Jechał do Dronthejm za towarami. Ja mu wzajemnie powiedziałem kim jestem i w kilka chwil potem izba gościnna w Kirkestne zapełniła się dźwiękami ojczystej mojej mowy. Pewno je wtedy poraz pierwszy dopiero słyszała.

— Różne okoliczności — opowiadał mi pan Wojciechowski. — skłoniły mnie osiąść w Chrystjanji. Bez środków przyszedłem tu przed dziesiątkiem lat, i wolę tu niż gdzieindziej. Inni poszli na Zachód i dziś marnieją na paryzkim bruku, ja poszedłem z bratem na Północ i ciężką pracą dorobiłem się kawałka chleba. Mamy sklep w stolicy Norwegji i dobrze nam idzie.

— Więc pan w Chrystjanji stale zamieszkać zamierzasz?

— Broń Boże! Pobędziemy tam jeszcze lat kilka i wrócimy do kraju, bo nas coś ciągnie ku swoim. Lud tu poczciwy i sympatyczny, pieniędzy nam nie brak, ale nieraz mało serce z bolu i żalu nie pęknie, tak nam tu nudno i ckliwo. Wrócimy więc do kraju.

Z rozmowy z panem Wojciechowskim dowiedziałem się, że nie on jeden z bratem swoim reprezentuje narodowość naszą w Chrystjanji. Jest tam jeszcze fotograf Polak Strutyński i jeszcze ktoś którego przecież nazwisko wyszło mi z pamięci. Wszystko ludzie pracy.

Spotkanie nasze w Kirkestne było bardzo krótkie. Pan Wojciechowski spieszył się niezmiernie, po krótkiej więc rozmowie rozstać się ze mną był zmuszony.

Odprowadziłem go do progu domu, a kiedy go już z oczu straciłem, pomyślałem westchnąwszy: gdzie naszych nie ma?...

Będąc znużony wielce wczorajszą podróżą, postanowiłem dziś jechać do Listad. Nająłem więc karjolę i około godziny trzeciej po południu, wyjechałem z małym chłopcem, najpierw do Skiäggestad, a potem do Listad o $1^1/_4$ mili od tej ostatniej stacji odległego.

Droga szła pod górę, wśród prześlicznych pagórków. Po lewej ręce miałem wciąż wody, a po prawej krajobrazy, piękność których tylko pendzel odmalowaćby zdołał. Około godziny szóstej wieczorem, stanąłem w Listad, zkąd nazajutrz wyjechałem do dnia i tego samego dnia w nocy byłem z powrotem w Chrystjanji.

C. d. n.

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXI.

Jaką rolę zajął Leonard Chodźko śród tego towarzystwa? i tych spraw, które poruszano? Ażeby to rozpatrzyć, trzeba byłoby zagłębić się na chwilę trochę w czas poprzedzający zawiązanie towarzystwa.

Po przybyciu do Paryża, w 1826 r., zapoznał się on z *Malte-Brun*'em, sławnym geografem. Z nim się widując, nieraz Chodźko odkrywał się ze swemi poglądami i jak pisze*): „W powtarzających z nim konferencjach, rozwijałem kwestję litewsko-ruską, jako polską i zupełną onej różnicę względem *Moskalów*, nazywanych Rossjanami, a którzy nie są Słowianami, chociaż później *zesłowianili się*, jak to i sam *Karamzin* powiada w swej *historji*. Łatwo mi było przekonać Maltebruna, iż historja Rurykowiczów jest odrębną od historji suzdalsko-moskiewskiej; że stolica dzisiejszej imperji nigdy nie była ani w Nowogrodzie wielkim, ani w Kijowie, ale pierwszą była od r. 1147 w Suzdalu nad Klaźmą, później przeniesioną do Włodzimierza nad Klaźmą, potem do Moskwy nad rzeką Moskwą, a nareszcie do Petersburga nad Newę, co było 4-tą stolicą nie zaś 6-tą, a zbudowaną na obcej ziemi, zabranej na Szwedach. Że *słowiańsko-polskie* ludy zamieszkałe w Nowogrodzie i Pskowie; że Krzywiczanie, Drewlanie, Radomiczanie, Polanie, Wołynianie, Podolanie itd. pokryci zostali imieniem narzuconem przez przybylców skandynawskich Ruryków i że odtąd wyrodziła się nazwa Rusi; ale że te ludy nie przestały być słowiańskiemi, że przybylcy przyswoili sobie język najechanych, że nakoniec ci mieszkańcy nie mieli nic wspólnego z Moskalami pochodzącymi z dziczy azjatyckiej; że historyk Nestor należy do historji literatury rusko-polskiej, nie zaś moskiewskiej.“ Wtedy to już Chodźko w artykułach ogłaszanych po francusku zaczął używać nazwy *tataro-moskovite* dla wyróżnienia od Rusi.

Malte-Brun zgadzał się na to i zamierzał porobić dodatki odpowiedne w swych dziełach. Pierwsze w podobnym duchu poprawki miały być w wydaniu nowem Obraz polski dawnej i społecznej (*Tableau de la Pologne ancienne et moderne*), którego to dzieła pierwsze wydanie z 1807 całkiem wyczerpano. Lecz śmierć zaskoczyła uczonego geografa. Chodźko dokończył zaczętą pracę i *Aimè-André* wydał ją w 2 tomach na korzyść rodziny zmarłego. W wydaniu tem wyszłem 1830, już wszędzie stoi *tataro-moskovite*. Równocześnie więc z powstaniem narodu, robi się powstanie przeciwko utartym na Zachodzie fałszom urzędowych historyków.!

Moskale już wówczas darować takiego *bezeceństwa* i *podłej obmowy* nie mogli. Zaczął się więc pokazywać cały szereg artykułów po różnych pismach, wykazujący, że Litwa i Ruś to Moskwa prawdziwa. Słowem, że gdy Chodźko pisał: „Dowodziłem że Rusini są Polakami i że to stanowiło zawsze jedną nierozdzielną rzeczpospolitę, gdy sami carowie w pamiętnym traktacie polanowskim z r. 1634 uznawali i potwierdzali, iż Witebsk, Smoleńsk, Starodub, Nowogród-Siewierski, Czerniechów i Kijów są polskiemi“*) i gdy nazywał ich tataro-moskwicinami, najazd legitymował się w *Gazecie Augsburgskiej* korespondencją z nad granicy,**) dowodząc, że „żądać podobnego poświęcenia, (jak ustępstwo zachodnich prowincji cesarstwa dla korony) w rzeczywistości trzeba być co najmniej warjatem, mieć po sobie albo siłę albo prawo.“ Wtedy to Moskwa może po raz pierwszy znalazła na Litwie i Rusi tylko 700.000 Polaków, 880 tysięcy Litwinów, 180.000 Moskali i 5,520.000 Mało-Rusinów. Katolików tylko policzono za Polaków, ale i wtedy jeszcze najazd nie śmiał wszystkich prawosławnych nazwać Moskalami i zadowolnił się wypowiedzeniem, że „pochodzenie Rusinów jest to samo co i Moskali... Pomimo długi ucisk, zachowali oni używalność mowy moskiewskiej, która o bardzo mało zmieniona przez zaprowadzenie kilku słów litewskich i polskich.“

Ówczesna statystyka nie pozwalała dać ściślejszych danych, to też cyfry przytoczone przez Moskali były uprzednio podane w dziełach Chodźki, i Moskale uznali za stosowne odwołać się na świadectwo tego „zaklętego wroga rossjan“. Jednakże między przekonaniem wypowiadanem teraz a dawniej przez wrogów naszych zachodzi nie mała różnica. Dziś cała Litwa, to kraj iście i odwieków moskiewski. W 30 roku zaś pisało się tylko: „Nie ma prawa bardziej niezaprzeczalnego jak prawo na którem Moskwa zatrzymała gubernje witebską, mohylewską, mińską, kijowską, podolską, wołyńską, grodzieńską i część prowincji białostockiej. Co zaś do gubernji Wileńskiej (dzisiejsza wileńska i kowieńska) utrzymujemy, że Rosja posiada je *na mocy prawa podboju, prawa, jakie zyskuje się i traci tylko siłą oręża.*“ Stronnik zaboru nie wahał się nawet objaśnić że: „Prawda że deklamacje pisarzy nieprzyjaźnych Rosji odmawiają zajęciu ziem niby to polskich nawet cechy *podboju* i określają tylko słowem poniżającem *odłączenie (spoliatwu)*. Niewiadomo jednak na jakiej zasadzie opiera się ta różnica, bo każdy z 3 podziałów był poprzedzony wojną Polski z Rosją i każdy raz płynęła krew rosyjska.“

Z dumą odwoływal się carat na swe siły, na wojskową potęgę, wykazując nicość Polaków i Chłopickiego w obec Dybicza; bo jeszcze nie doznał porażek 31 roku. Jednakże, zaczepiony Chodźko przytoczeniem jego zdania jakby na poparcie twierdzeń moskiewskich, odpowiedział w *Journal des Debats* listem z 29 grudnia 1830, dowodząc „że prawa narodu nie wykreślają się,“ i wołał w oburzeniu: „Bez wątpienia oni (Moskale) pochlebiają sobie, że powaga imienia Polaka, położona na czele książki, usposobi czytelnika do uwierzenia, że wyjątki wyrwane tam i siam z dwutomowej pracy, zestawione nareszcie ze zdradzieckim zamiarem, nadadzą wartość machiawelskiemu argumentowaniu.“ Owoż zaprzeczając w dalszym ciągu artykułu twierdzeniom dzienników najazdu, dowodząc, iż „zdaje się iż dzienniki niemieckie nie wiedzą co to jest] Litwa?“ podnosi Chodźko myśl o połączeniu narodów dwóch równych i odrębnych i twierdzi, że Polska była *„państwem federacyjnem, rzecząpospolitą złożoną z dwóch państw, z dwiema koronami, dwoma narodami, dwoma językami;* z Królestwa Polskiego i wielkiego księstwa Litewskiego.“ Że na tej podstawie spoczywa i sejm czteroletni i konfederacja jeneralna z 1812. „Zaprzeczać Litwie jej praw do niepodległości stwierdzonej przeszłością ośmio-wiekową, zapoznawać swobody pozyskane przez nią unją z Polską w 1386 i nienawiścią jej ku instytucjom tataro-moskiewskim; utrzymywać że taż sama Moskowija panuje nad tym krajem na mocy prawa legalnego, nareszcie rozweselać się niewolą polskiego narodu w niezapamiętanych czasach.... nie znaczy to oszukiwać siebie, ale łgać.“

Językiem Litwy był „język rusiński również zbliżony do polskiego, o ile daleki od moskiewskiego lub teraźniejszego rosyjskiego. Wszelkie prawa i akta polityczne, sądowe i administracyjne W. X. Litewskiego były pisane w tej mowie.“ Chodźko nie zapomniał podać i o litewskiej mowie „obcej słowiańskiej, używanej także przez prawdziwych Prusaków.... Od narodu pruskiego Litwo-słowiańszczyźna wywodzi swój pierwszy początek w 11 i 12 wieku; lecz ona zawsze poniewierała swym pierwotnym idiomem i użytek jego stał się tak ciasnym, że zaledwo liczą 100.000 mówiących językiem pruso-litewskim w Litwie właściwej, gdy tymczasem na Żmudzi, w Prusach królewskich i w Kurlandji liczą więcej nad 780.000. Nakoniec nigdy nie pisano w tej mowie.“ Nie mam zamiaru protestować błędne statystyczne dane ani wyliczać kto i kiedy pisał w mowie wajdelotów, bo twierdzenia Chodźki w swoim czasie były najprawdopodobniejsze śród znanych powszechnie na Zachodzie. Z ustępu *Debatów* przytoczę jeszcze następny wyjątek: „Co do mowy słowiańsko-polskiej lub lechickiej, była ona zawsze obcą Litwie i jeżeli dziś jest 700.000 w tym kraju osób mówiących ją, to tylko z powodu przyjacielskich stosunków z Polakami. Wszelako jej przewaga jest taką, że prawie 3 miljony osób włączywszy w to Żydów, Tatarów i Mołdawanów używają tego idiomu.“ A dalej znajduje się o religji: „Jednakże car na Litwie liczy tylko 3,410.000 swych współwyznawców, zaliczając w to i raskolników, gdy tymczasem w tymże kraju jest 5,390.000 katolików rzymskich, katolików greckich, Ormian, Mahometanów i Żydów.“

Wkrótce potem, bo jeszcze na początku walki orężnej w *Foreign Quarterly Review* ogłosił Chodźko drugi, dość obszerny w tym samym duchu artykuł, który wyszedł w tłumaczeniu francuskiem.*) Wyjaśnia w nim, że powstanie nie było czemś przypadkowem, że działało długo towarzystwo patrjotyczne, a Mickiewicz zagrzewał swą pieśnią naród do czynów, gdy *Lach-Szyrma* pisał o nowożytnem piśmiennictwie polskiem, *Zaydler* we Florencji pisał Włochom o Polsce pod każdym względem, a we Francji, wydawca *Memoires de Michel Ogiński sur la Pologne* i autor historji Legjonów, a także Morawski T., Podczaszyński M. Oleszczyńscy i Sowiński znajomili powszechność ze sztuką i historją narodu. „Pomimo dobrych dzieł niedawno ogłoszonych o Polsce, znajomość tego kraju pozostała jednak niezupełną u ogółu i można powiedzieć że Litwa, której historja mniej była rozpowszechnioną, jest całkiem nieznaną narodom Zachodu. W ogóle mniemają, że po wszystkie czasy ona składała cząstkę cesarstwa rosyjskiego i przypadkowo tylko

---

*) List do Cyprysińskiego 20 sierpnia 1833 Tours

*) List Chodźki do Cyprysińskiego.

**) Russie, des frontiereas 12 decembre 1830. (Gazette d'augsbourg).

*) Histoire Contemporain. Histoire politique de la Lituanie depuis sa reunion à la Pologne en 1386 jusqu'a son insurrection en 1831. (Revue Britanique).

otrzymała stosunek z Polską. Mniemanie to fałszywe... od 500 lat Litwa dobrowolnie połączyła się z Polską...."

Zapewno po raz pierwszy Zachód posłyszał o *Libo Polemonie, Dorsprungu* i t. d. przeniesionych, nie wiem dla czego, do 900 lat, o Herulach-Litwinach, o rozszerzeniu się Litwy po Rusi, Mindowe i t. p.

Autor przebiega cały przeciąg żywota wspólnego dwóch narodów, wykazuje ich łączność i przytacza mnóstwo faktów: „Ostatni wzrok Litwa cała pełna nadziei, zwróciła jeszcze na Warszawę w 24. maja 1829, epoce koronacji Mikołaja. Lecz połączenie Litwy nie było tam nawet poruszonem! A to było jedną z głównych przyczyn wybuchu powstania listopadowego." Pierwszy Chodźko rozpowiedział zachodowi o Zanie, promienistych i tym popędzie do oświaty jaki panował na Litwie. Dość czytać te stronnice, by nawet nieznając kraju, nabrać przekonania, że Litwa cała oddychała tem samem powietrzem co i Korona, tylko że na Litwie zdrowszy wiatr powiewał. To też przytoczenie ukazu Aleksandra rozpędzającego profesorów i uczni za to, że rozszerzali *bezmyślną polską narodowość w prowincjach polskich Rosji* odbija całą siłą przeciwieństwa prawdzie. Już z tego wszystkiego widać, że przed powstaniem listopadowem podniesiono na zachodzie sprawę jedności Litwy i Korony w należytem świetle i że tak sławna teorja uralofińskiego pochodzenia Moskali, przed Duchińskim została opowiadana Zachodowi na lat 30 pod imieniem tataro-moskwicinów.

Wszelako jeżeli Duchiński i jego wyznawcy chcą na mocy rasowości narodów stwarzać przymierza i wyprawiać wojny, to całkiem co innego było po 30 roku. Twórcy teorji tataro-moskiewskiego pochodzenia, jakieśmy widzieli, często odwoływali się do ludzkich pojęć Moskali, pisali do nich odezwy wzywając do wspólnej pracy zwalenia despotyzmu, a powstanie 31 roku wywiesiło napis „za naszą i waszą wolność", gdy nowożytni popieracze czystości ras chcieli by wyniszczyć uralo-finów nie aryjskich jak amalejcytów.

XXII.

Jako ciało zbiorowe towarzystwo ziem ruskich i litewskich wystąpiło przy obchodzie listopadowej rocznicy, której opis widzieliśmy, a później 25 marca 1832, obchodząc pamiątkę powstania Litwy i Rusi. Przeszło 400 osób napełniało salę ozdobioną chorągwiami narodowemi i danemi przez Amerykanów, na głównej ścianie wisiał portret Kościuszki. Mnóstwo mężczyzn i dam francuskich, irlandzkich, angielskich, polskich, hiszpańskich, amerykańskich i portugalskich dodawało uroczystości chwili; a *Lelewel*, Cezary i Władysław *Platerowie*, *Szemiot*, L. *Chodźko*, K. E. *Wodziński* i *Jullien* zabierali głosy. Później Ludwik *Lemâitre* przeczytał wiersze francuskie, a *Słowacki* polskie. Słowa wymawiane na tym bankiecie były wygłaszane w imieniu całego towarzystwa, zatem są jakby wyznaniem wiary politycznej jego i zasługują na bliższe wglądnięcie w treść mów wygłaszanych.

Lafayette otwierając posiedzenie, przemawiał: „Dzień ten jest pamiętny w rewolucji litewskiej, która śród sławy bieżącej epoki jest tem godniejszą uwagi, że była podjętą z mniejszymi środkami i większemi niebezpieczeństwami niż inne. Było to pięknem i zadawalniającem staraniem, panowie, obchodzenie pamiątki tylu cudów waszej ojczyzny przez długi szereg wieków. Jak zachwycające jeszcze działanie przedstawia się wam w tej przerwie kolejnych podziałów, które były zbrodnią mocarstw z nich korzystających i hańbą tych co zcierpieli podziały! Zapewno, nie zapomnieliście tej epoki, gdy łącznie ze swą bracią we Francji, wasi współrodacy wzięli tak wielki udział w chwale trójkolorowych chorągwi." A dalej komplementa Czartoryskiemu, Lelewelowi i Platerowi czyli piekłu, niebu i czyścowi czy otchłani emigracyjnej.

Plater Cezary, jako przewodniczący towarzystwa, dowodził, że dla pokazania że Litwa a Moskwa to coś jednego, Moskalom trzeba było użyć prześladowań i reformy radykalnej społeczeństwa i „w tym celu żadnego środka nie zaniedbano. Wszelka propaganda intellektualna, wszelki duch cywilizacji karany był wygnaniem; wywiezienie dotknęło szlachetne głowy co miały wiarę w wyznanie liberalne. Badanie naszych starych kronik, poszukiwania naukowe nawet były rozpatrywane jako niebezpieczne, usunięto je ze szkół, zabroniono je na katedrach publicznych. Lecz prześladowania nie odniosły owoców. Wbrew swym dospotom Litwini i mieszkańcy ziem ruskich zachowali swój typ narodowy; *oni pozostali Polakami. To tylko źle objaśnieni opowiadacze chcą stworzyć między Litwinami i Polakami królestwa, odrębności narodowościowe (catégorie de nationalité)*, rozdzielić w rewolucji ostatniej, czyny orężne pierwszych od wielkiej walki ostatnich. Nie wytknięto wszystkiego co robili osobno Litwini, nie oddano sprawiedliwości ich męztwu i patrjotyzmowi i wszelkiego rodzaju ich poświęceniom. Nie obliczono ani słabości ich środków, ani przeszkód z jakiemi zaczęli oni swą pracę. Lecz co powinno otworzyć oczy Europie, to co Litwini życzą robić podciągnięci dzisiaj pod te same prawa ogólnego wygnania jak i ich bracia Polacy," i t. d.

Lelewel po Platerze dalej razjaśnia sprawę, a zacząwszy od zagłębiania się w pierwotne życie Litwy, dobiega do połączenia narodów i świadczy, że „Żmudź pod zasłoną wszelkich zmian politycznych jakim ulegały Litwa i Polska, zachowała swą narodowość pierwotną. *Widziano tam chłopów bogatych*, kochających swą ojczyznę i jej obyczaje, *pełnych braterstwa i jednoczących się sercem i duszą ze swymi braćmi Polakami*, byli oni szczerze przywiązani do swego bytu i oczekiwali wszelkich *wolnych instytucji republikańskich, jakie mimo wolnie rozwijały się dla wszystkich stanów*. Oni zachowali ich uczucie narodowe aż do ostatniej katastrofy rzeczypospolitej i los ich pogorszył się zaledwie z upadkiem ostatniej, gdy z nią razem wpadli oni pod jarzmo moskiewskie. Trzydzieści siedm lat niewoli i ucisku nie mogły zagasić ich uczucia. Nadeszła chwila i naród starodawnej Polski, usiłując wielu nawrotami odzyskać swą niepodległość, zapłonął znowu i widzieliście panowie, że chłopi żmudzcy przewyższyli swych współbraci. Pierś ich wydała głos odrodzenia i wyzwolenia ojczyzny, ich serca zaczęły bić z ożywieniem, a ich ręce bez oręża podniosły się z magiczną siłą przeciwko bataljonom zszeregowanym wroga". Zestawiając podobne obrazy historyk nasz wnioskuje, że uczucia litewskie „odżywią starodawne prawa", a do patrjotów litewskich należy „*odzielenić drzewo wolności wśród was i w Polsce.*"

Szemiot Franciszek rozpatrywał polityczny stan Litwy, nie wahając się wyznać, że śmierć Witolda „*szczęśliwie dla przyszłości dwóch narodów, położyła koniec jego dumnym obrazom*". A, oburzając się na moskiewskie twierdzenia powiada: „Dość jest rzucić okiem na Litwę od jej połączenia się z Polską, *dość jest popatrzeć na ostatnią rewolucję naszą, ażeby dowieść niegodność tych bezecnych łgarstw*". Litwini bowiem razem z Polakami leli swą krew za Francję po całym świecie i brali za oręż ilekroć rzeczpospolita cała to samo robiła. A *Romer, Zawisza, Billewicz, Giedroyć* i inni wysyłani na Sybir jeszcze za czasów Kościuszki. I nie przepuszczając okrucieńswom w *Elblągu i Fiszau*, baszkirom, Kałmukom i Moskalom, kończy: „Potomność osądzi ciemiężycieli i ciemiężonych... ona *osądzi tych dyplomatów trucicieli wolności i zabójców rewolucji*. Oni staną się sławnymi jako ten nieszczęśliwy co się unieśmiertelnił zniszczeniem kościoła w Efezie."

Dlaczego jednak nie udało się powstanie na Litwie, jeżeli było tyle i tak ciągłych poświęceń, dlaczego odrywano Litwę pierwej? Każdy z cudzoziemców mógł zapytać słuchając o tych wynoszeniach cnót i poświęcenia Litwinów. Dla rozchwiania więc nieporozumienia i niejasności w tej mierze, odpowiada w swej mowie Władysław *Plater*: „W dniu, w którym wieść o rewolucji polskiej padła na niwę litewską, *Litwa była już gotową i czekała rozkazu. A słowo rozkazu z wolna nadchodziło.* Dyktator, żołnierz improwizowany w Warszawie, wdawał się w konszachty zamiast działać, *szukał ostatecznego powodzenia w dyplomacji, zamiast wyciągnąć z pochew szable...* Daremno głos ludu się rozlegał, daremnie wykazywał jedyny środek zbawienia. Rząd wysłuchał tylko przez połowę: zwlekał i stracił 3 miesiące... Wtedy pozostawiona sobie samej, przebiegana oddziałami moskiewskiemi Litwa niecierpliwa wejść na linję, samoistnie podjęła się tylko swemi natchnieniami. Bez broni, bez jenerałów i wojska organizowanego rzuciła się ona na przebój walki, zalała drogi oddziałami partyzanckiemi, przecięła komunikacje, rozbiła konwoje... utrzymywała armje w wiecznej czujności i przezto dokonała potężnej dywersji." Swą mowę zakończył W. Plater: „Wykażemy co nasza ojczyzna zrobiła dla sprawy wszystkich; przypomnimy, że ich dzieci będą wdzięczni prazojcom, dumni z nieszczęścia zawsze większego niż gwałt z jakby wysoka on nie pochodził. I zatem *potrzeba jeszcze ażeby nasza krew płynęła dla urzeczywistnienia epoki wolności i odrodzenia, a nikt z nas nie zawaha się stawić się na wielkie spotkanie wolnych ludów*."

Dla dopełnienia obrazu i tu też porusza *Chodźko* obraz wychowania Litwy i przyczynek jej w oświacie. „*Jezuityzm i jego smutny orszak*, powiada on, *chciał wyssać aż do podstaw zasady wolnego kształcenia równego dla wszystkich stanów, dostępnego dla wszystkich warstw mieszkańców rzeczypospolitej Polskiej*, a dwa wieki wyłącznego panowania i przywileju tego fatalnego towarzystwa zadało ważny cios rozwojowi umysłowemu Polaków, Litwinów i Rusinów... piorun Watykanu*) otworzył całkiem nowy zawód Polakom, zaczynającym dzieło odrodzenia nieszczęsnej ojczyzny."

Podnosi Chodźko przedstawienie *Chreptowicza* Joachima, wpływ Akademji i wszechnicy wileńskiej. Działanie Czackiego i Czartoryskiego i całego grona profesorów wszechnicy; jak młody Michał *Plater* w 1823 roku pisał, niech *żyje konstytucja* 3. maja, prześladowania przez Nowosilcowa, Pelikana i im podobnych. Przechodząc do ostatnich czasów twierdzi, że „Żmudzi i Litwy i ziem ruskich mieszkancy połączyli nowe usiłowania, aby zwyciężyć lub umrzeć za swoją drogą i wspólną ojczyznę. *Wielka emancypacja wie-*

---

*) Wymierzony w serce jezuitów aktem rozwiązania ich stowarzyszenia jako szkodliwego kościołowi.

ku ziści się i dzieci Polski dowiodą, że nie odrodzili się od swych ojców."

Po tych mowach Litwinów pozostawało tylko *K. Wodzińskiemu* dopełnić jeszcze o Rusi. „Każdy z nas przejęty dziś temi samemi uczuciami, które utrwaliły naszą śmiałość w zamiarach i nadały niezachwianą ufność w przyszłości. *Powstanie Wołynia, Podola i Ukrainy* będzie mało sławnem w rocznikach strategji, *ale niewątpliwie będzie ono uświęconem w historji postępu ludzkości, gdzie każda kropla krwi przelanej za wolność* i każdy grosz wdowi ofiarowany na ołtarzu ojczyzny *będzie policzony z wdzięcznością i błogosławiony przez potomność.*" Wymieniwszy prace powstańcze *Worcella, Mikułowskiego* i *Steckiego*, przechodzi do *Dwidowa* i okrucieństw nad Czarnowskim, do walk Dwernickiego itd. Słowem, że przemówienie ówczesne Wodzińskiego jest jakby zarysem krótkim do przyszłej historji powstania Rusi, która nie prędko później wydana była przez *Wrotnowskiego*. „Nasze nawet wygnanie nie jest dla nas bez korzyści. „Winniśmy mu poznanie rzeczywistych naszych przyjaciół, winniśmy mu zaświadczenie objawów tego powszechnego współczucia, nieznanego dotąd w obszarach historji, a które zostawione było dla dzieci polskich do rozbudzenia w łonie wszystkich narodów."

Po głosie Wodzińskiego, Julien, de Paris, członek towarzystwa ziem litewskich i ruskich przemówił za naszemi kobietami i wystawił ile było u nas sławnych patrjotek w ostatnich latach po rozbiorze, co robiono itd. We Francuzie tak wielka znajomość tylu wypadków zastanawia nas; W ogóle ze strony Francuza jest to hymn pochwalny dla wschodnich naszych województw. „Młodzi Litwini, dzielni Polacy i wy ich bracia, obywatele ziem ruskich, święty sojusz orła białego Polski i pogoni litewskiej jest godłem jedności narodowej, która wam obiecuje, która wam zapewnia bliskie odrodzenie waszej ojczyzny. Wypadki biegną, ludzie i rządy gardzące sprawiedliwością i wolnością, przeznaczone są do zatarcia swych śladów przechodnych. Te tylko będą miały trwałość, życie i sławę, które słuchają tylko głosu narodów, które kładną święte prawa narodowości nad wszelkie niesprawiedliwe wymogi gabinetów i kongresów, którzy czują że porządek i pokój nie ustali się dopokąd narodowości nie będą powszechnie uświęcone i poważane" i kończy, że „wielka era cywilizacji nie zacznie jaśnieć całym swym blaskiem w świecie tylko od dnia, w którym szlachetna rodzina litewska i polska zacznie obchodzić na grobach swych bohaterów dawnych i nowoczesnych, tryumf swej niepodległości i zmartwychwstania narodowego."

Boło to najważniejsze wystąpienie towarzystwa ziem litewskich i ruskich. Tu przemawiali wszyscy jako członkowie towarzystwa, zatem wedle ustaw, mieli to prawo dopiero po przeczytaniu mów na zgromadzeniu i po uzyskaniu pozwolenia. Więc teorja jedności Litwy, Rusi i Korony była teorją całego towarzystwa, a ono się składało z Litwinów i Rusinów czystej krwi. Zapowiedź wspólności walk i jedności ludów rzeczypospolitej była zadaniem fałszu Moskalom. Tu, nie historycy płatni cara, lecz wygnańcy z ojczyzny, badacze kilkodziesięcioletni przeszłości i kronik głoszą jedność rzeczypospolitej. Nie pod harapem najeźdźców, lecz nawet w obec niechęci koroniarskich co tak mocno raniły Litwę i Ruś, jakby wynoszeniem się jakiemś i ociąganiem. Głoszą Litwini i Rusini swój rozbrat z Moskwą i to w czasie gdy ta targając się na unitów, wmawiała nieistnienie w zabranym kraju innych ludzi oprócz Moskali, a carowie polskość tam nazywali głupiem marzeniem.

To wypowiedzenie jedności rzeczypospolitej i niezacieranie śladu prowincjonalizmu miało tem większe znaczenie, że Zachód niezmiernie mało wiedział o Litwie pod tę porę. Dość przytoczyć, że jeżeli w Europie wierzono nieraz moskiewskim przywłaszczeniom, to w Ameryce gdy *Estkowie*, krewni Kościuszki, odwołali się do Stanów zjednoczonych, poszukując spadku po Kościuszce, minister spraw zagranicznych nie wahał się objawić zdumienia swego, że „Moskale z grodzieńskiej gub. szukają spadku po Polaku prawdziwym" i dopiero musiano mu tłomaczyć, że Kościuszko był tyle dobrym Litwinem co i Estkowie.

Chcąc więc utrwalić w umysłach całą jedność narodów połączonych, towarzystwo ziem litewskich i ruskich odbiło medal, o którym mówiliśmy, chociaż rząd francuski nie pozwolił na jego odbijanie we Francji.

W sprawozdaniu swem*) świadczy towarzystwo, że „usiłowania literackie jego również otrzymały wypadki zgodne z jego chęciami i że zaczęło ogłaszać biuletyny zamykające szczegóły najwyższego zajęcia o głównych wypadkach rewolucji w ziemiach litewskich i ruskich, a których uznanie narodu nie powinno skazać na zapomnienie. I dlatego zamierza do swych cząstkowych wydawnictw dodać zupełne dzieło historyczne, wydane we francuskim, *które będzie pomnikiem godnym świętej sprawy, dla której się poświęci.*" Takiego jednak dzieła zda się nie było i cała zapowiedź pozostała tylko ponętnem życzeniem. Nie zbudowawszy takiego pomnika godnego sprawy, towarzystwo to oddziaływało na wyrobienie się odpowiednich przekonań na zachodzie przez zakładanie licznych kółek ogniw towarzystwa.

A w odezwie swej woła, że: „towarzystwo odwołuje się do uczuć sprawiedliwości i patrjotyzmu przyjaciół polskiej sprawy i wierzy w obowiązek do niezaniedbywania żadnej okoliczności ku zapłaceniu dani *szacunku dla najświętszej i najpiękniejszej rewolucji.*" Towarzystwo zawczasu zapowiadało uroczysty obchód rocznicy i na 1833 rok.

(C. d. n).

*) Societe Lituanienne et des terres russiennes. Paris 15 Mars 1833.

Do J. I. Kraszewskiego.

Więc Ci w uchu dźwięczą mile
Te piosenki kiedyś grane,
Co leciały jak motyle,
Z macierzanki na dziewannę,
Kwiatów pyłkiem osypane?

Więc Ci w uchu dzwięczą mile
Te piosenki bezechowe?
Ileż to ich zgasło, ile,
Na rozdrożu, na mogile,
W pustyń skwarze, w mgły grudniowe!

Ciszej, ciszej! bo usłyszą
W grobach, mistrzu, twoje słowo;
I wyroją się na nowo,
Wzlecą, skrzydła rozkołyszą,
Krążyć będą nad twą głową.

A nie spędzisz tak ich łatwo,
Gdzie się znęcą raz ich roje!
Znam się z tą niesforną dziatwą,
Którą wskrzesi słowo twoje,
Piersi ją karmiły moje.

Z pod stóp Hiramowej góry
Jedna pieśń się już podrywa:
Patrz, szalona mdłemi pióry,
Przez szerokie mórz lazury
Leci, leci, lecąc śpiewa:

„Zkąd mnie owiał duch anioła,
„W cytrynowych sadach śpiącą?
„Słyszę, czuję pierś gorącą
„Co mi stopi szrony z czoła;
„Kto mnie zbudził? kto mnie woła?"

Niechże piosnkę Bóg prowadzi!
Biedne ptaszę to tułacze,
Jeśli skrzydło go nie zdradzi,
Wiem, doleci gdzie mu radzi,
Lecz miast' śpiewać, się rozpłacze.

Nie odepchniesz, wiem, ptaszyny,
Choć zmęczona, Cię zasmuci;
Bracie, boleść jej bez winy.
Patrz na czarne mórz głębiny..,
Wracać znowu?.. nie! nie wróci!

Tripoli 4. sierpnia 1879. *K Brzozowski.*

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

V.

Zarabiaj na życie.

Sarlande jest to małe miasteczko w Sawennach, zbudowane w głębi wąskiej kotliny, którą góra, niby wielki mur zamyka ze wszystkich stron. Kiedy słońce pada na nią, jest to piec; kiedy wiatr północny wieje, lodownia...

Tegoż wieczora, kiedym przybył, wiatr szalał od rana; i chociaż była to wiosna, ten Mały, siedząc na wierzchu dyliżansu, czuł wjeżdżając do miasta, jak go zimno przejmuje do szpiku kości.

Ulice były czarne i puste... Na placu broni kilka osób oczekiwało powozu, chodząc wzdłuż i w szerz przed źle oświeconem biórem.

Jak tylko zlazłem z mojej karety, nie tracąc ani chwili czasu, kazałem się zaprowadzić do kolegium. Pilno mi było objąć mój urząd.

Kolegium niedaleko od placu znajdowało się; przeszedłszy dwie lub trzy ciche ulice, człowiek, który niósł mój tłomok, zatrzymał się przed wielkim domem, gdzie wszystko zdawało się być umarłe od lat wielu.

— Tutaj — rzekł, podnosząc ogromny młot u drzwi...

Młot uderzył ciężko, ciężko... Drzwi otwarły się same... Weszliśmy.

Czekałem przez chwilę w przysionku, w cie-

niu. Człowiek położył mój tłomok na ziemi, zapłaciłem mu, i szybko wyszedł... Za nim potężne drzwi zamknęły się ciężko, ciężko... Wkrótce potem ospały odźwierny nadszedł trzymając w rękach wielką latarnię.

— Pan zapewne jest nowym uczniem — rzekł ze spiącą miną.

Brał mię za ucznia... Prostując się rzekłem:

— Nie jestem wcale uczniem, przybyłem tutaj jako korepetytor, proszę zaprowadzić mię do naczelnika...

Odźwierny zdawał się być zdziwiony; uchylił trochę czapki i wprowadził mię na moment do izdebki swojej. Pan naczelnik był pod tę chwilę w kościele z dziećmi. Zaprowadzą mię do niego, jak się modlitwa wieczorna skończy.

W izdebce odźwiernego kończono wieczerzę. Piękny, tęgi mężczyzna z wąsami blond popijał kieliszek wódki, obok małej, wychudłej kobiety, żółtej jak pigwa i starannie otulonej wyblakłym szalem.

— Co to takiego, panie Cassagne? — spytał mężczyzna z wąsami.

— To nowy korepetytor — odpowiedział odźwierny, wskazując na mnie... — Pan ten tak małego jest wzrostu, że go z początku wziąłem za ucznia.

— W istocie — rzekł człowiek z wąsami, spoglądając na mnie — mamy tutaj uczniów daleko wyższych a nawet starszych niż pan... Veillon starszy, naprzykład.

— I Crouzat — dodał odźwierny.

— I Sonbeyzol... — odezwała się kobieta.

Tu zaczęli mówić z sobą pocichu, spuszczając nosy do swej szkaradnej wódki i spoglądając na mnie z pod oka... Ze dworu dochodził szum wiatru i piskliwe głosy uczniów odmawiających litanją w kaplicy.

Nagle dzwonek odezwał się; wielki szmer dał się słyszeć w przysionku.

— Modlitwa skończona — rzekł do mnie pan Cassagne powstając — idźmy do naczelnika.

Wziął swoją latarnię, i poszedłem za nim.

Kolegium wydało mi się ogromne... Nieskończone kurytarze, wielkie przysionki, szerokie schody z poręczami z wyrabianego żelaza... wszystko to stare, czarne, okopcone... Odźwierny powiedział mi, że przed 89 dom ten był szkołą marynarki, i że było w niej do ośmiu set uczniów, wszyscy z najwyższej arystokracji.

Kończył właśnie to objaśnienie, kiedyśmy stanęli przed gabinetem naczelnika... Pan Cassagne z lekka popchnął podwójne drzwi wyścielane i dwa razy zapukał w futrowanie.

Na to głos z gabinetu odpowiedział: „Proszę!“ Weszliśmy.

— Był to wielki gabinet z obiciem zielonem. W głębi jego przed długim stołem naczelnik pisał przy bladem świetle lampy, której zasłona zupełnie opuszczona była.

— Panie naczelniku — rzekł odźwierny posuwając mię naprzód — oto nowy korepetytor, mający zastąpić pana Serrières.

— Dobrze — rzekł naczelnik, nie podnosząc oczu.

Odźwierny ukłonił się i wyszedł. Ja stałem na środku pokoju, kręcąc kapelusz między palcami.

Skończywszy pisać, naczelnik odwrócił się do mnie, i mogłem wówczas przypatrzyć się jego twarzy bladej i suchej, oświeconej dwojgiem oczu zimnych, bezbarwnych. On ze swojej strony, chcąc mi się lepiej przypatrzyć, podniósł zasłonę lampy i włożył lornetkę na nos.

— Ależ to dziecko! — wykrzyknął wskazując z fotelu. — A cóż mi po dziecku?

Na ten raz Daniel Eyssette przestraszył się ogromnie; widział się już na ulicy, bez środków do życia... Zaledwie potrafił wyjąknąć dwa lub trzy wyrazy i wręczyć naczelnikowi list polecający, który miał do niego.

Naczelnik wziął list, przeczytał raz i drugi, złożył go, rozłożył, znowu odczytał, nareszcie powiedział, że przez wzgląd na szczególną rekomendację rektora i na zacność rodziny mojej, zgadza się wziąć mię do swego zakładu, chociaż młodość moja przestrasza go. Następnie długo się rozwodził nad wielkiem znaczeniem nowych moich obowiązków; ale nie słuchałem go. Dla mnie główną rzeczą było to, że mię nie odprawiono... Nie odprawiono mię; byłem więc szczęśliwy, szalenie szczęśliwy. Chciałbym, żeby naczelnik miał tysiąc rąk i żebym je wszystkie mógł ucałować.

Straszny chrzęst żelaziwa zmroził mój zapał. Szybko odwróciłem się; przedemną stała długa figura, z rudemi faworytami; byłto inspektor; wszedł był do gabinetu tak, że go nikt nie słyszał.

Z głową pochyloną na ramię, patrzał na mnie z najsłodszym uśmiechem, potrząsając pękiem kluczów rozmaitej wielkości, zawieszonym na drugim palcu ręki jego. Uśmiech był ujmujący, ale klucze zgrzytały straszliwie, dzyn! dzyn! dzyn! co mię ogromnie przestraszało.

— Panie Viot — rzekł naczelnik — oto zastępca pana Serrières; tylko co przybył.

Pan Viot ukłonił się i najłagodniej w świecie uśmiechnął do mnie. Klucze jego przeciwnie zatrzęsły się ironicznie i złośliwie, jak gdyby mówiąc: „Mały ten człowieczek miałby zastąpić pana Serrières, cóż znowu! cóż znowu!“

Naczelnik tak dobrze jak i ja zrozumiał, co mówiły klucze, i dodał z westchnieniem: Wiem, że tracąc pana Serrières, ponosimy niewynagrodzoną stratę (tu klucze wydały prawdziwe łkanie...); ale jestem pewny, że jeżeli pan Viot zechce wziąć nowego korepetytora pod szczególną opiekę swoją i wpoić w niego swoje nieocenione poglądy co do regulaminu, to porządek i karność w zakładzie nie ucierpią tyle na wyjeździe pana Serrières.

Zawsze słodki i uśmiechnięty pan Viot odpowiedział, że zapewnia mi przychylność swoją i że chętnie dopomagać mi będzie radami swojemi; ale klucze nie okazywały się wcale skłonnymi do przychylności. Trzeba było słyszeć, jak się kręciły i wściekle zgrzytały: „Porusz się tylko, mały hultaju, a zobaczysz!“

— Panie Eyssette — zakończył naczelnik— możesz odejść. Dzisiaj jeszcze musisz nocować w hotelu... Proszę być tu jutro o ósmej rano... Żegnam...

I odprawił mię ruchem pełnym godności.

Pan Viot zawsze słodki i uśmiechnięty przeprowadził mię aż do drzwi; tam przed rozstaniem się wsunął mi do ręki mały zeszyt.

— Jest to regulamin zakładu — rzekł mi. Proszę przeczytać i zastanowić się nad nim...

Potem otworzył drzwi i zamknął je za mną, potrząsając kluczami... dzyn! dzyn! dzyn!

Panowie ci zapomnieli poświecić mi... Dobrą chwilę błądziłem po wielkich kurytarzach, zupełnie ciemnych, rękami dotykając murów i usiłując trafić na właściwą drogę. Od czasu do czasu promień księżyca przeciskał się przez kratę wysokiego okna i pomagał mi w tej wędrówce. Nagle wśród czarnej galerji zaświecił jasny punkt, posuwający się na przeciwko mnie... Postąpiłem jeszcze kroków kilka; światło zwiększało się, zbliżało ku mnie, wreszcie przeszło tuż koło mnie, oddaliło się i znikło. Było to jak gdyby widzenie, ale chociaż przemknęło tak szybko, pochwyciłem najmniejsze szczegóły jego.

Przedstawcie sobie dwie kobiety, nie, dwa cienie... Jedna stara, pomarszczona, zwiędła, skurczona we dwoje, w ogromnych okularach, które zasłaniały połowę jej twarzy; druga młoda, wysmukła, trochę wątła jak wszystkie widma, ale mająca to, czego widma nie posiadają zwykle, parę oczu czarnych, bardzo wielkich, tak czarnych, tak czarnych... Stara trzymała w ręku małą miedzianą lampę; czarne oczy nie niosły nic... Dwa cienie przesunęły się koło mnie szybko, milcząc, nie widząc mnie, i oddawna znikły, a ja stałem jeszcze na tem samem miejscu, pod wrażeniem podwójnem: strachu i uroku.

Szedłem dalej po omacku, ale serce biło mi mocno, i zawsze w ciemności przed sobą widziałem okropną czarownicę w okularach, idącą obok czarnych oczu...

Trzeba było jednak wynaleść schronienie jakieś na noc! a nie była to rzecz mała. Szczęściem człowiek z wąsami, którego znalazłem palącego fajkę w izdebce odźwiernego, ofiarował mi zaraz usługi swoje i zaproponował zaprowadzić do dobrego niewielkiego hotelu, gdzie zamałe pieniądze będę podejmowany jak książę. Łatwo domyślić się, jak chętnie przystałem na to...

Człowiek ten z wąsami zdawał się być bardzo dobrym; idąc z nim do hotelu, dowiedziałem się, że się nazywa Rogier, że jest profesorem tańca, jazdy konnej, fechtunku i gimnastyki w szkole i że długo służył w pułku strzelców w Afryce. To ostatecznie zjednało mu sympatję moję. Dzieci zawsze mają skłonność do żołnierzy. Rozstaliśmy się u drzwi hotelu, kilkakrotnie uścisnąwszy się za ręce obiecując sobie wzajemnie stać się dobrymi przyjaciółmi.

A teraz, czytelniku, muszę ci zrobić jeszcze jedno wyznanie.

Kiedy ten Mały został sam jeden w zimnym pokoju, przed pospolitem, nieznanem łóżkiem oberży, daleko od tych których kochał, serce jego wybuchło, i wielki ten filozof zapłakał jak dziecko. Życie przestraszało go; czuł się słabym i bezbronnym wobec niego i płakał, płakał... Nagle z pośród łez twarze ukochanych mignęły przed oczami jego; ujrzał dom pusty, rodzinę rozproszoną, matkę tu, ojca tam... Bez dachu! bez ogniska! i zapominając o swem własnem zmartwieniu, ten Mały pogrążył się w myśli o wspólnej nędzy i zrobił wielkie piękne postanowienie: przywrócić domowi Eyssette dawny byt jego i odbudować ognisko rodzinne za pomocą własnych tylko sił swoich. Dumny z tak szlachetnego celu życia, otarł łzy niegodne mężczyzny, budowniczego nowego ogniska, i nie tracąc chwili czasu wziął się do czytania regulaminu pana Viot'a; chciał się zapoznać z nowymi obowiązkami swymi.

Regulamin ten, z zamiłowaniem przepisany własną ręką autora jego, pana Viot'a, był to prawdziwy traktat, metodycznie podzielony na trzy części:

1. Obowiązki nauczyciela względem zwierzchników jego.

2. obowiązki nauczyciela względem jego kolegów.

3. Obowiązki nauczyciela względem uczniów.

Wszystko tam było przewidziane: od szyby stłuczonej do dwóch rąk, które jednocześnie podnoszą się w szkole; wszystkie szczegóły życia korepetytora były wypisane: od płacy aż do pół butelki wina, do której miał prawo przy każdem jedzeniu.

Regulamin kończył się wspaniałym ustępem o użyteczności samego regulaminu; ale pomimo całego szacunku swego dla utworu pana Viot'a, ten Mały nie miał siły dojść do końca, i w najpiękniejszem miejscu ustępu tego, zasnął...

Nocy tej źle spałem. Tysiące fantastycznych marzeń przerywało mi sen... Czasami zdawało mi się, że słyszę straszne klucze pana Viot'a, dzyn! dzyn! dzyn! to znowu czarownica w okularach siadała przy mojem łóżku i nagle budziła mię; albo czarne — oh! jakie czarne! — stawały przy łóżku i uparcie wpatrywały się we mnie...

Nazajutrz o godzinie ósmej byłem w kolegium. Pan Viot, stojąc we drzwiach z pękiem kluczy w ręku, dozorował wejścia przychodnich uczniów. Powitał mię najsłodszym swym uśmiechem.

— Proszę zaczekać w przysionku — rzekł do mnie; — jak uczniowie wejdą, przedstawię pana kolegom.

Czekałem w przysionku, przechadzając się wzdłuż i wszerz jego, i kłaniając się aż do ziemi panom profesorom, którzy przybiegali zadyszani. Jeden tylko jedyny z tych panów odkłonił mi się; był to ksiądz, profesor filozofji, „oryginał“, rzekł mi pan Viot... Pokochałem go od razu, tego oryginała.

Dzwonek odezwał się. Klasy napełniły się... Czterech czy pięciu wielkich chłopców od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, źle ubranych, o rysach pospolitych wbiegło do przysionka podskakując; zatrzymali się na widok pana Viot'a.

— Panowie — rzekł do nich inspektor, wskazując na mnie, oto pan Daniel Eyssette, nowy wasz kolega.

To powiedziawszy — ukłonił się i odszedł zawsze uśmiechnięty, z głową pochyloną na ramię i zawsze potrząsając obrzydliwymi kluczami.

Moi koledzy i ja patrzyliśmy na siebie przez chwilę w milczeniu.

Najwyższy z nich i najgrubszy, pierwszy odezwał się, był to pan Serrières, znakomity pan Serrières, którego miejsce miałem zastąpić.

— Do kata! — zawołał wesoło, na ten raz śmiało powiedzieć można, że nauczyciele idą po sobie, ale nie są do siebie podobni.

Słowa te odnosiły się do nadzwyczajnej różnicy wzrostu naszego. Śmiano się z tego bardzo, bardzo, ja pierwszy śmiałem się także; ale upewniam was, że ten Mały byłby chętnie odprzedał duszę swoję djabłu za kilka cali wzrostu.

— To nic nie znaczy — dodał gruby Serrières, wyciągając do mnie rękę; — chociaż nie na jedną miarę zbudowani jesteśmy, możemy jednak razem wypróżnić butelek parę... Chodź z nami, kolego... funduję pożegnalny poncz w kawiarni Barbette; chcę żebyś pan przyłączył się do nas... poznajomimy się, pijąc.

Nie dając mi czasu do odpowiedzi, ujął mię pod rękę i pociągnął z sobą.

Kawiarnia Barbette, gdzie nowi moi koledzy zaprowadzili mię, znajdowała się na placu broni. Podoficerowie garnizonu uczęszczali do niej, i oczy wchodzącego uderzała na wstępie moc wielka kaszkietów wojskowych i pasów wiszących na hakach...

Dnia tego wyjazd Serrières'a i jego poncz pożegnalny ściągnęły do kawiarni wszystkich jej zwykłych gości... Podoficerowie, którym Serrières przedstawił mię, przyjęli mię bardzo uprzejmie. Prawdę mówiąc jednak, przybycie Daniela Eyssette nie wielkie sprawiło wrażenie, i prędko zapomniano o mnie w kącie, gdziem się nieśmiało usunął był... Podczas kiedy szklanki napełniły się, gruby Serrières podszedł do mnie i usiadł; był bez surduta i w zębach trzymał długą fajkę z glinki, na której imię jego znajdowało się wypisane porcelaną. Wszyscy korepetytorowie szkoły mieli takie fajki w kawiarni Barbette.

— Otóż widzisz, kolego — rzekł do mnie gruby Serrières — i w naszym stanie są jeszcze niezłe chwile. Słowem, dobrześ trafił, dostając się na początek do Sarlande. Najprzód, piołunówka w kawiarni Barbette jest doskonała, a powtóre tam w budzie nie będzie ci źle.

Budą nazywało się kolegium.

— Do pana należeć będzie oddział małych chłopców, których trzyma się w ryzie. Ho! ho! wytresowałem ja ich! Naczelnik nie jest zły; koledzy dobrzy chłopcy, tylko stara i ojciec Viot...

— Jaka stara? — spytałem zadrżawszy.

— Oh! poznasz się z nią prędko! O każdej godzinie dnia i nocy można ją spotkać, wałęsającą się po kolegium w ogromnych okularach... Jestto ciotka naczelnika; pełni tutaj urząd szafarki. Ah! to baba! jeżeli nie umieramy tu wszyscy z głodu, to już nie jej wina.

Z opisu Serrières'a poznałem, że mówił o czarownicy w okularach, i pomimo woli zarumieniłem się. Ze dwadzieścia razy miałem na ustach pytanie: „A oczy czarne?“ Ale nie śmiałem. Mówić o czarnych oczach w kawiarni Barbette!... oh! pfe!...

Tymczasem poncz krążył, próżne szklanki napełniały się, pełne wypróżniały; w kawiarni rozlegały się toasty, oh! oh! ah! ah! machano kijami bilardowymi, popychano się; pojedyńczemi grupami z cicha szeptano; donośne śmiechy, kalambury krążyły do koła...

Powoli ten Mały stawał się śmielszy. Opuścił swój kąt i przechadzał się po kawiarni, mówiąc głośno i trzymając szklankę w ręku.

Teraz już podoficerowie byli przyjaciołmi jego; bezczelnie opowiadał im, że należy do rodziny bardzo bogatej, i że wskutek kilku wybryków, których się był dopuścił, jako młody człowiek, wypędzono go z rodzicielskiego domu; potrzebując żyć, został korepetytorem w kolegium, ale nie myślał długo tu bawić... Rzecz naturalna, mając tak bogatą rodzinę.

Ach! żeby tamci z Lugdunu mogli go słyszeć w tej chwili!

A jednak, czemże są ludzie! Kiedy rozniosło się po kawiarni, że byłem członkiem bogatej rodziny, lampartem, nicponiem nie zaś biednym chłopcem, którego nędza skazała na pedagogią, wszyscy zaraz zaczęli spoglądać na mnie przyjaźniejszem okiem. Najstarsi podoficerowie raczyli przemówić do mnie; co większa: w chwili kiedyśmy się mieli rozejść, Rogier, fechmistrz, mój przyjaciel wczorajszy, powstał i wzniósł zdrowie Daniela Eyssette'a. Łatwo się domyślić jak z tego dumnym był ten Mały!

Toast Daniela Eyssette'a był sygnałem wyjścia. Biło trzy kwadranse na dziesiątą, to jest chwila powrotu do kolegjum.

Człowiek z kluczami czekał na nas przy drzwiach.

— Panie Serrières — rzekł do mego grubego kolegi, który zawdzięczając pożegnalnemu ponczowi, potykał się często — zaprowadzisz pan po raz ostatni uczniów swoich do klasy; poczem naczelnik i ja wprowadzimy do niej nowego korepetytora.

W rzeczy samej, w kilka minut później naczelnik, pan Viot i nowy korepetytor uroczyście weszli do klasy.

Wszyscy powstali.

Naczelnik przedstawił mnie uczniom w mowie trochę przydługiej ale pełnej godności; potem wyszedł w towarzystwie pana Serrières, na którym działanie ponczu stawało się coraz widoczniejszem. Pan Viot pozostał ostatni. Ten nie miał mowy żadnej, ale klucze jego, dzyn! dzyn! dzyn! mówiły w jego imieniu, a to w tak straszny sposób, dzyn! dzyn! dzyn! tak groźny, że wszystkie głowy ukryły się pod wieko pulpitów, i że sam nowy korepetytor nie bardzo czuł się bezpiecznym.

Jak tylko straszne klucze wyszły, mnóstwo figlarnych twarzyczek podniosło się z za pulpitów; wszystkie pióra do ust przytknęły, wszystkie oczka świecące, drwiące, przestraszone utkwiły we mnie, i długi szmer przebiegł stoły z jednego końca w drugi.

Trochę zmięszany, powoli wstąpiłem na stopnie katedry mojej; wodząc oczami dokoła usiłowałem nadać im wyraz okrutny, wreszcie, nadymając głos zawołałem uderzywszy parę razy w stół:

— Pracujmy, panowie, pracujmy!

Tak to Daniel Eyssette rozpoczął swą pracę.

VI.

Mali.

Ci nie byli źli, to tamci. Ci nie zrobili mi nigdy nic złego, i ja kochałem ich bardzo, bo nie czuć ich było jeszcze szkołą, bo całą ich duszyczkę można było wyczytać z ich oczu.

Nigdy ich nie karałem. Po co? Któż karze ptaszki?... Kiedy nadto głośno świergotali, dość było krzyknąć: „Cicho!“ Cała ptaszarnia moja milkła natychmiast, przynajmniej na pięć minut.

Najstarszy z nich miał lat jedenaście. Jedenaście lat, powiedzcież sami! A gruby Serrières przechwalał się, że trzymał ich w ryzie!...

Ja nie trzymałem ich w ryzie. Starałem się tylko zawsze być dobrym, nic więcej.

Czasami, kiedy bardzo byli grzeczni, opowiadałem im powiastkę jaką... Powiastkę!... Co za szczęście! Prędko, prędko, składano zeszyty, zamykano książki; kałamarze, linje, piórniki, wszystko to w nieładzie wpadało do pulpitów, potem opierając skrzyżowane ręce na stole, otwierano wielkie oczy i słuchano. Ułożyłem był dla nich pięć lub sześć fantastycznych powiastek: *Pierwszy występ konika polnego. Nieszczęścia Jana Królika* i t. d. Wtenczas jak i teraz ulubionym moim świętym w kalendarzu literackim był poczciwy La Fontaine, i moje opowiadania snuły się na tle bajek jego; dokładałem tylko do tego trochę mojej własnej historji. Był tam zawsze biedny świerszcz, który musiał pracować na życie jak ten Mały; były Boże krówki, które szlochając kleiły, jak Eyssette (Jakób). Bawiło to bardzo moich małych, i mnie także bawiło bardzo. Nieszczęściem, pan Viot nie życzył sobie, by się bawiono w taki sposób.

Trzy lub cztery razy w tygodniu straszny człowiek od kluczów robił przegląd całego kolegjum, dla przekonania się, czy wszystko w nim było podług regulaminu... Otóż jednego z tych dni wszedł do naszego oddziału i trafił na samo najpatetyczniejsze miejsce historji Jana Królika. Ujrzawszy wchodzącego pana Viot'a, cała klasa zadrżała. Przestraszeni mali spoglądali na siebie. Opowiadający umilkł nagle. Jan Królik zdumiony stanął na miejscu, trzymając jednę łapkę w powietrzu i z wielkiego strachu nadstawując długie swe uszy.

Naprzeciw mojej katedry uśmiechnięty pan Viot zatrzymał się i z wyrazem zdziwienia patrzał na puste pulpita. Nie mówił nic; ale klucze jego wściekle trzęsły się: „Dzyn! dzyn! dzyn! ta zgraja nicponiów nic tu nie robi!"

Drżąc cały, starałem się uspokoić straszne klucze.

— Panowie ci wiele pracowali tymi dniami — wyjąkałem... — Chcąc wynagrodzić to, opowiadałem im małą powiastkę.

Pan Viot nie odpowiedział mi nic. Skłonił się tylko uśmiechając, raz jeszcze potrząsł kluczami i wyszedł.

Wieczorem podczas rekreacji o godzinie czwartej, podszedł do mnie i zawsze uśmiechnięty, zawsze milczący, podał mi zeszyt regulaminu, otwarty na stronicy 12: *"Obowiązki korepetytora względem uczniów.*

Zrozumiałem, że nie należy opowiadać powiastek, i nigdy już odtąd nie opowiadałem ich.

Przez kilka dni następnych mali moi uczniowie niepocieszeni byli. Brakło im Jana Królika, a mnie serce pękało, że nie mogłem go im oddać. Nie uwierzycie, jak kochałem ich, tych moich malców! Zawsze byliśmy razem... Kolegjum dzieliło się na trzy wyraźne oddziały: wielcy, średni i mali; każdy oddział miał swój dziedziniec, swoją sypialnię, swoją klasę. Mali moi należeli do mnie, zupełnie do mnie. Zdawało mi się, że mam trzydziestu pięciu synów.

Oprócz nich nikogo więcej nie miałem, żadnego przyjaciela. Napróżno pan Viot uśmiechał się do mnie, napróżno w czasie rekreacji brał mię pod rękę, dawał mi rady tyczące się regulaminu; nie lubiłem go, nie mogłem go lubić, jego klucze nadto mię przestraszały. Dyrektora nigdy nie widywałem. Profesorowie pogardzali tym Małym i spoglądali na niego z wysokości tog swoich. Co do kolegów moich, tych odstręczyła odemnie sympatja, którą człowiek od kluczów zdawał się mi okazywać. Zresztą od zaprezentowania się mego podoficerom, nie byłem ani razu w kawiarni Barbette, i poczciwi ci ludziska nie mogli mi tego darować.

Nawet odźwierny Cassagne, nawet fechtmistrz Rogier byli przeciwko mnie. Fechmistrz szczególnie zdawał się być strasznie zawzięty na mnie. Jak tylko przechodziłem koło niego pokręcał wąsa z wielce srogą miną, i przewracał oczy, jak gdyby zamierzał porąbać ze stu Arabów przynajmniej. Razu pewnego rzekł do Cassagne'a, patrząc na mnie, że nie lubi szpiegów. Cassagne nie odpowiedział nic; ale z miny jego dobrze widziałem, że nie lubi i on także... O jakich szpiegach mówili?... Dało mi to dużo do myślenia.

Z rezygnacją znosiłem tę powszechną antypatję. Korepetytor średnich mieszkał razem ze mną w małym pokoiku, na trzeciem piętrze, pod strychem; tam się schroniłem podczas lekcji. A że mój kolega cały swój wolny czas przepędzał w kawiarni Barbetta, pokój zatem w rzeczywistości do mnie samego należał; był to mój pokój, tam byłem u siebie.

Wszedłszy do niego, zamykałem się na dwa spusty, przyciągałem tłómok swój — w pokoju nie było krzeseł — do starego biórka, zasianego plamami atramentu i rznięciami scyzoryka, rozkładałem książki moje i dalejże do roboty!...

Było to wiosną... Kiedy podnosiłem głowę, widziałem niebo błękitne i wielkie drzewa na dziedzińcu, okrywające się liściem. Ze dworu żaden szmer nie dochodził mię. Od czasu do czasu monotonny głos ucznia wydającego lekcję, wykrzyknik rozgniewanego profesora, kłótnia między wróblami na gałęziach... i znowu zapadała cisza, kolegjum zdawało się spać.

Ten Mały nie spał. Nie marzył nawet, co jest najprzyjemniejszym sposobem spania. On pracował, pracował bez wytchnienia, pakując sobie do mózgu grekę i łacinę, tak, że głowa omal mu nie pękała.

Czasami w samym zapale suchej pracy jego tajemniczy palec pukał do drzwi.

— Kto tam?

— To ja, Muza, twoja dawna przyjaciółka, pani Czerwonego zeszytu, otwórz mi prędko, Mały.

Ale ten Mały nie otwierał, broń Boże. W głowie mu tam była Muza wtenczas!

Do licha zeszyt czerwony! Na teraz najważniejszą rzeczą było obrobić jak najwięcej zadań greckich, zostać licedatem i co najprędzej odbukować nowiutką siedzibę dla familji Eyssette'ów.

Myśl, że pracowałem dla familji dawała mi wielką odwagę i znośniejszem czyniła życie. Izdebka moja nawet zdawała się upiększać tą myślą... Oh! izdebko moja, kochana izdebko, ileż pięknych godzin przepędziłem między twemi czterma ścianami! Jakże dobrze pracowałem tam! jakże się czułem mężnym!... O nędzo życia mego, czemuż nie mogę już być tym Małym, jakim byłem wówczas!...

Słowem, jak widzicie, miałem tam i dobre chwile.

Miałem też i złe. Dwa razy w tygodniu, w niedzielę i czwartek, trzeba było prowadzić dzieci na przechadzkę. Przechadzka ta męczarnią była dla mnie.

Zwykle szliśmy na łąkę; był to wielki trawnik, rozciągający się niby dywan u stóp góry, o pół mili od miasta. Kilka grubych kasztanów, trzy lub cztery szynki pomalowane na żółto, strumień źródlanej wody, płynący wśród zieleni, upiększały to miejsce i czyniły je wesołem i miłem.... Trzy oddziały udawały się tam każdy z osobna; a kiedy już wszystkie stanęły na miejscu, łączono je w jedną gromadę pod nadzorem jednego korepetytora, a tym ostatnim byłem zawsze ja. Moi dwaj koledzy, zapraszani przez starszych uczniów, udawali się do szynków, gdzie ich częstowano; a że mnie nigdy nie zapraszano, zostawałem zatem dla nadzoru nad uczniami... Ciężki to był obowiązek do spełnienia w tak ładnem miejscu!

Tak przyjemnie byłoby położyć się na zielonej murawie, w cieniu kasztanów i poić się zapachem macierzanki, słuchając szmeru strumyka!... Zamiast tego trzeba było pilnować, krzyczeć, karać... Całe kolegjum miałem na swoim karku. Straszne to było...

Najstraszniejszem jednak z tego wszystkiego było przejście przez miasto z moim oddziałem, z oddziałem małych. W innych oddziałach uczniowie szli doskonale jeden za drugim i stukali piętami jak grenadjery; czuć w tem było karność i bęben. Moi mali nie rozumieli się wcale na tych pięknych rzeczach. Nie szli w szeregu, trzymali się za ręce i przez całą drogę skrzeczeli jak sroki. Napróżno wołałem na nich: „W równych odstępach;" nie rozumieli mię i szli po swojemu.

Byłem dosyć zadowolony z czoła kolumny mojej. Tam ustawiałem najstarszych, najpoważniejszych; ale na szarym końcu jaka plątanina, jaki nieporządek!... Nie śmiałem patrzeć na nich.

Desinit in piscem — mówił mi uśmiechający się pan Viot, dowcipny czasami. W istocie ogon kolumny mojej nieświetnie się przedstawiał.

Rozpacz mię brała kiedy z takim orszakiem musiałem się ukazać na ulicach Sarlande, szczególnie w niedzielę... Dzwony rozlegały się, ulice pełne były przechodniów. Spotykaliśmy pensje panien, udające się na nieszpory; modystki w czepeczkach różowych; elegantów w spodniach perłowego koloru. Trzeba było przechodzić wśród tego wszystkiego w wytartej sukni i ze śmieszną zgrają chłopców. Jaki wstyd!...

Między wszystkiemi temi rozczochranemi djablętami, które trzeba było dwa razy w tygodniu wodzić przez miasto, jeden szczególnie przyprowadził mię do rozpaczy brzydotą swoją i nieprzyzwoitem zachowaniem się.

Wyobraźcie sobie małe straszydło, tak małe, że aż do śmieszności; przytem niezgrabny, brudny, rozczochrany, ubrany źle, a w dodatku okropnie koszlawy.

Nigdy podobnego ucznia nie było w spisach uniwersytetu, jeżeli uczniem godziło się go mianować nawet. On sam jeden mógł zniesławić kolegium całe.

Co do mnie, prawdziwy wstręt powziąłem do niego; kiedy w dniu przechadzki ujrzałem go na końcu kolumny, kołyszącego się z wdziękiem młodej kaczki, wściekła mię wówczas brała chętka wypędzić go z oddziału mego, któremu wstyd przynosił.

Bamban, przezwaliśmy go Bamban, dla jego nieregularnego chodu, nie należał wcale do rodziny arystokratycznej. Łatwo to było poznać po jego obejściu się, sposobie mówienia, a nadewszystko po pięknych stosunkach, jakie miał w mieście.

Ze wszystkimi ulicznikami Sarlande w ścisłej był przyjaźni.

Dzięki jemu, zaledwieśmy wyszli na ulicę, już zgraja nicponiów zjawiła się z tyłu, wołając Bambana po imieniu, pokazując go sobie palcami, rzucając na niego łupinami kasztanów i wyrządzając tysiące innych psikusów. Bawiło to bardzo moich małych, ale mnie nie było do śmiechu, i co tygodnia szczegółową zdawałem derektorowi sprawę z postępowania Bambana i z całego nieporządku, jakiego on był przyczyną.

Na nieszczęście, derektor nie dawał mi nigdy żadnej odpowiedzi na to, i zawsze musiałem pokazywać się na ulicy w towarzystwie pana Bambana, brudnego i koszlawego jak zawsze.

Jednej niedzieli szczególnie, niedzieli pięknej, słonecznej, przybył na przechadzkę w takim stanie toalety, żeśmy się wszyscy przestraszyli. Trudno wyobrazić sobie nawet coś podobnego. Ręce brudne, trzewiki nie zawiązane, błoto wszędzie, nawet we włosach, prawie bez spodni... słowem straszydło.

Co najśmieszniejsze, to że wyraźnie ustrojono go dnia tego, zanim mi go przysłano. Włosy, lepiej niż zawsze uczesane, kleiły się od pomady, a w zawiązaniu krawatki wyraźny był ślad rąk macierzyńskich. Ale rynsztoków tyle jest po drodze do kolegium!...

*

Bamban do każdego z nich wleść musiał.

Kiedy ujrzałem go stającego w szeregu wraz z innymi, uśmiechniętego i spokojnego jak gdyby nic nie zaszło, złość mię porwała i zawołałem z oburzeniem:

„Idź precz!“

Bamban sądził, że żartuję i wciąż uśmiechał się. Zdawało mu się, że jest bardzo pięknym dnia tego!

Krzyknąłem znowu: „Idź precz! idź precz!“

Błagalnem spojrzeniem popatrzał na mnie z miną smutną i pokorą, ale ja się nie wzruszyłem, i oddział posunął się naprzód, a on pozostał nieruchomy na środku ulicy.

Sądziłem, żem się uwolnił od niego na dzień cały, ale przy wyjściu z miasta usłyszałem śmiechy i szepty w tylnej części kolumny; odwróciłem głowę i o cztery lub pięć kroków za nami ujrzałem Bambana, który poważnie kroczył za kolumną.

— Przyspieszcie kroku — rzekłem do dwóch pierwszych uczniów.

Uczniowie zrozumieli, że chodzi mi o spłatanie figla koszlawemu, i oddział ruszył galopem.

Od czasu do czasu odwracał on się, chcąc przekonać się czy Bamban może podążyć za nami, daleko, bardzo daleko spostrzegano figurkę jego, małą jak pięść; biegł wśród kurzawy na drodze, między kupcami ciastek i limonady.

Warjat ten przybył na łąkę prawie jednocześnie z nami. Tylko blady był ze znużenia i ciągnął nogą tak, że litość brała.

Serce poruszyło mi się, i trochę zawstydzony okrucieństwem mojem przywołałem go z cicho do siebie.

Miał bluzkę spłowiałą, w kratę czerwoną, bluzę tego Małego, co ją miał w Lugdunie.

Poznałem ją natychmiast, tę bluzę i rzekłem do siebie: „Nędzniku, nie wstydzisz się. Ależ to ty sam, to ten Mały, którego tak dręczysz teraz.“ I rozczulony do łez, z całego serca pokochałem tego opuszczonego biedaka.

Bamban usiadł na ziemi, bo go nogi bolały. Ja siadłem obok niego. Mówiłem z nim... Kupiłem mu pomarańczę... Chciałbym był obmyć nogi jego...

Od tego dnia Bamban stał się przyjacielem moim. Dowiedziałem się o nim rzeczy, które mię rozczuliły.

Był on synem kowala, który słysząc wciąż o dobrodziejstwach nauki, krwawo sią pocił, biedny człowiek, by dziecko swoje posyłać do kolegium na naukę. Ale niestety! Bamban nie był stworzony do kolegium i nic w niem nie korzystał.

Kiedy przyszedł po raz pierwszy, dano mu wzór lasek do pisania i powiedziano: „Pisz laski!“ I od roku Bamban pisał laski. A jakie laski, wielki Boże!... koszlawe, brudne, kulawe, utykające, laski Bambana, jednem słowem!

Nikt się nim nie zajmował. Do żadnej klasy wyłącznie nie należał; zwyczajnie wchodził do tej, którą znajdował otwartą, Pewnego dnia znaleziono go w klasie — filozofii; zabierał się właśnie do lasek swoich... Dziwny to był uczeń, ten Bamban.

Przypatrywałem mu się czasami, jak schylony we dwoje, spocony sapał, wysuwał język, trzymając pióro całą ręką i cisnąc niem ze wszystkich sił, jak gdyby chciał stół przedziurawiać.... Za każdą laską maczał pióro w atramencie i na końcu każdej linii chował język i odpoczywał zacierając ręce.

Bamban pracował chętniej teraz, kiedyśmy zostali przyjaciołmi...

Zapisawszy stronę całą, spiesznie włazil na czworakach na katedrę moję i, nic nie mówiąc, kładł przedemną arcydzieło swoje.

Głaskałem go przyjaźnie mówiąc: „Bardzo dobrze“. Szkaradne to było, ale nie chciałem go zniechęcać.

Rzeczywiście jednak powoli laski zaczynały trzymać się prościej; pióro mniej pyrskało i mniej było atramentu na papierze... Sądzę, że w końcu nauczyłby się był czegoś przy mnie; na nieszczęście los rozdzielił nas. Korepetytor średnich opuszczał koligium.

Ponieważ rok miał się ku końcowi, dyrektor nie chciał brać nowego na jego miejsce. Ucznia retoryki, mającego już brodę, przeznaczono do małych; a mnie powierzono średnich.

Uważałem to za nieszczęście dla siebie.

Najprzód, że średni przestraszali mię. Widziałem już ich poprzednio na łące i na myśl, że mam z nimi żyć ciągle, serce mi się ściskało.

Powtóre, trzeba było opuścić moich małych, moich drogich małych, których tak kochałem... Jakim będzie dla nich uczeń retoryki z brodą?.. Co się stanie z Bamban'em? Czułem się prawdziwie nieszczęśliwym.

Moi mali rozpaczali także, tracąc mię. Kiedy po raz ostatni doglądałem ich nauki, odgłos dzwonka wywołał chwilowe wzruszenie... Wszyscy chcieli sciskać mię... Niektórzy nawet, upewniam was, śliczne rzeczy mówili mi.

A. Bamban?...

Bamban nie mówił nic. Ale w chwili, kiedy wychodziłem, zbliżył się do mnie i cały czerwony, uroczyście wsunął mi w rękę wspaniały zeszyt z laskami, które na moją intencję wysztychował.

Biedny Bamban! (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Żydzi, przez Teofila Merunowicza. Lwów 1879. Nakładem Księgarni Polskiej*).

Kwestja żydowska jest bezwątpienia najważniejszą ze wszystkich w naszym kraju, obejmuje ona bowiem setki innych spraw poruszających do głębi tętna życia narodowego i ekonomicznego. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził że tylko Polska dotknięta jest tą straszną chorobą, zwaną kwestją żydowską; cała Europa cierpi na nią i napróżno szuka lekarstwa, zachodzi tylko różnica co do siły i stopnia jej rozwoju. Istnieje ona w Niemczech, Francji, a nawet w Anglji, w krajach wysoko pod względem ekonomicznym rozwiniętych, chociaż tam ilość Żydów stosunkowo jest małą, cóż dopiero u nas, którzy mamy to nieszczęście gościć u siebie trzecią część wszystkich europejskich Żydów!! Daty statystyczne w przerażający sposób przedstawiają nam stan naszego kraju pod tym względem: w Norwegji jeden Żyd przypada na 69.665 mieszkańców, w Szwecji na 3.646. w Hiszpanji na 2.806, w Belgji na 2.544, we Francji na 785 — a u nas w Galicji na dziewięciu! Dodajmy do tego, że nieubłagana statystyka wykazuje rok rocznie ogromny wzrost ludności żydowskiej, a kwestja żydowska u nas przedstawi się w całej ohydnej nagości.

Czem są Żydzi, zdaje się, że wiemy dobrze. Tworzą oni społeczeństwo w społeczeństwie, państwo w państwie z jasno określonym i z piekielną konsekwencją przeprowadzanym celem wyzyskiwania i niszczenia ludności chrześciańskiej. Nie jest to przesadą, jest to najprawdziwsza prawda, której nawet oni sami nie ukrywają. Najlepiej zda się zcharakteryzujemy Żydów przytaczając sprawozdanie rumuńskiej izby poselskiej, które dosłownie do nas zastosować można. Brzmi ono: Inwazja żydów do Ruminji przybrała w ostatnich czasach tak olbrzymie rozmiary, że ludność jest prawdziwie przerażoną. Tutejsza rodzima ludność czuje się zalaną przez tę obcą, a wrogo dla niej usposobioną rasę, podkopującą widocznie najistotniejsze jej intetesa.Ten cichy podbój naszego kraju, wywołał w ekonomice państwowej wielkie i z każdym dniem wzrastające szkody, gdyż siła tych przybyszów przewyższa już teraz liczbę 500,000. Ich pochodzenie plemienne; ich nauka moralności, ich uporczywe izolowanie się nie dopuszczą, ażeby oni stali się kiedykolwiek Rumunami. Dozwolono im wyrobić sobie monopol. który całkowicie zniszczył handel nasz i drobny przemysł. Kapitały, które w posiadaniu Rumunów znajdowały się w obrocie produktywnym, Żydzi wyciągnęli z kraju. Bez żadnego skrupułu poświęca się przeważna większość żyjących u nas Żydów lichwie, wskutek czego zrabowane zostały do szczętu tysiące zamożnych niegdyś rodzin. Lichwa i zmonopolizowanie kapitału sprowadziły przesilenie pieniężne, które od wielu lat kraj nasz przygnębia. Nawet nędzę ludu wyzyskują Żydzi tysiącznymi sposobami i z nienasyconem łakomstwem, gdyż nędza może być także źródłem korzyści dla tych, którzy mają serce robić z niej przedmiot spekulacji. Żyd zmonopolizował pieniądz, on zmonopolizował napój i pożywienie i to pociągnęło za sobą straszliwe skutki w czasach głodowych — a najbardziej ucierpiały wówczas od spekulujących na to Żydów klasy pracujące. Żydzi wymyślili wówczas tysiące fałszerstw, tysiące mięszanin na szkodę zdrowia ludności. Dzieje 2000 lat charakteryzują ducha najściślejszej odrębności u Żydów. Żyd nie będzie nigdy Polakiem, nigdy Francuzem, nigdy Anglikiem, on będzie wiecznie żydem takim samym jak byli przodkowie jego w epoce biblijnej. Żydzi nie mogą mieć żadnej wspólności z narodami chrześciańskimi, gdyż we wszystkiem stanowią z nimi przeciwieństwo. We wielkich i małych rzeczach roznoszą oni z sobą wszędzie zniszczenie i rozkład, gdyż u nich jest to dążnością religja uświęconą, wzmagać się w potęgę wszędzie na ruinach tych żywiołów, jakie gdziekolwiek na miejscu zastaną. Nie znają oni uczucia wdzięczności względem narodów, które ich przyjmują gościnnie, gdyż cokolwiek kto inny posiada, nie oni, poczytują Żydzi za uzurpację i wszelkich używają środków ku temu; iżby opanować wszystkie narody, ażeby spełniło się przyrzeczenie starego testamentu“.

Ostatecznym celem tych wszystkich knowań żydowskich jest panowanie nad światem, czyli jak się wyraził publicznie p. Cremieux, prezes Stowarzyszenia *Alliance Israelite* „założenie nowego państwa mesjanicznego, nowego Jeruzalem w miejsce cesarzów i papieży“. A przyznać im trzeba, że obrali ku temu celowi najpraktyczniejszą, najprzyjemniejszą i najmniej niebezpieczną drogę. Niech inni walczą orężem, niech inni tyrają siły w żmudnej pracy — oni dojdą do celu daleko pewniej i rychlej za pomocą jedynego olbrzymiego środka, którym jest — pieniądz. Środka tego używają oni skutecznie

od dalekiej starożytności, a w obecnych czasach stał się on w ich ręku potęgą, której ulegają zarówno jednostki, jak i miljonowe organizmy państwowe. Żyd arendarz trzyma w swych rękach losy gmin, Rotszyldowie, Bleichrödery, Bambugery decydują o całych narodach i państwach. Najlepszy dowód mieliśmy na ostatnim kongresie berlińskim. Nie dopuszczano nań reprezentantów państw mniejszych, nie przyjęto naszego memorjału domagającego się opieki nad uciśnionym narodem, ale *Alliance Israelite* miała na nim głos decydujący i przeprowadziła to, czego chciała, mianowicie kongres zakwestjonował niezależność Rumunji, Serbji i Czarnogóry, żądając równouprawnienia dla Żydów. Nader trafnie nazwał jeden z niemieckich publicystów Żydów — „złotym internacjonałem". Tworzą oni rzeczywiście jedno wielkie stowarzyszenie w całym świecie, straszniejsze od jezuityzmu i międzynarodowego związku robotników, oparte bowiem na religji i tradycji i rozporządzają daleko straszniejszą bronią niż internacjonał czarny, lub czerwony. (Dok. nast).

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wiec szewski odbył się w sali ratuszowej z całą powagą i zachowaniem porządku przy tego rodzaju obrzędach przestrzeganego. Okoliczność ta cieszy nas bardzo, służy bowiem za dowód, że nasze klasy rzemieślnicze, godne są już zająć poważne miejsce w liczbie pracowników na polu spraw publicznych. Prezydent miasta p. Jasiński, wybrany na przewodniczącego, kierował obradami ze zwykłym sobie taktem, obecność zaś pana Smolki i Czerkawskiego nadawała temu wiecowi ton dojrzałej i na serjo myślącej o sobie korporacji. Blisko 400 osób ledwie że mogło się pomieścić w sali magistratu, a z tych 125 przybyło z prowincji.

Panowie szewcy, za główną przyczynę upadku rzemiósł u nas, a szczególniej szewskiego podają: 1) konkurencję zagranicy, 2) nienaturalną konkurencję zakładów karnych, 3) brak otwartego odbytu wyrobów za granicę i 4) protekcję udzielaną przemysłowi innych prowincji Austrji przy dostawach rządowych. Tego rodzaju zarzuty być może z ogólnego poglądu na swobodę, zarobkowania i konkurencji, nie wytrzymałyby poważnej krytyki szczególniej w pierwszym i drugim punkcie, bo ani wyroby zagraniczne tak bardzo nie są do nas sprowadzane ani konkurencja zakładów karnych nie jest tak groźną, żeby je usuwać potrzeba drogą specjalnych rozporządzeń. Za to słuszniejszemi są zarzuty w punktach 3 i 4tym szczególniej co dotyczy protegowania wyrobów innych prowincyj dla dostawy obuwia dla wojska. Słusznie przeto i sprawiedliwie żądać możemy, aby rząd wziął w opiekę nasz przemysł i przez zmianę traktatów handlowych z sąsiadami, wpłynął na zniżenie cła od wyrobów gotowych wywożonych za granicę, które jak np. do Rosji wynosi aż 33% wartości wyrobu. Również udział nasz w dostawach ubrania i obuwia dla wojsk tu konsystujących powinien nam być zapewnionym, ma się rozumieć na warunkach odpowiednich. Gdyby wiec szewców nic innego nie uczynił nad sformułowanie tych potrzeb, już dobrzeby się zasłużył krajowi. Lecz on nie poprzestał na tem, bo postanowił wytworzyć Instytucję, któraby starała się o zbyt wyrobów po za granicami Galicji, co uważamy za najważniejszą czynność i rezultat tej narady. Rzeczywiście naszemu przemysłowi brak jest wszelkiej a wszelkiej ruchliwości; my z założonemi rękoma lubimy oczekiwać kundmanów, gdy inne kraje na wyścigi biegną i ofiarują swoje wyroby, czego dowodem takie mnóstwo uwijających się ciągle komiwojażerów... Trzeba się koniecznie dać poznać, czasami i gwałtem narzucić:—takie już nastały czasy że spać się niegodzi. Wniosek o zakładanie spółkowych składów skór w różnych miastach Galicji, uważamy również za bardzo racjonalny, a do niego dodalibyśmy jeszcze zaprowadzenie choćby na małą skalę lombardów przy kasach zaliczkowych, gdzieby taki uboższy rękodzielnik, do czasu zbycia swego towaru, mógł go na mały procent zastawić i zyskać fundusz na kupno materjału do dalszej roboty. Funkcję tę po miasteczkach dziś prowadzą tylko żydzi, których nasi majstrowie stają się poprostu niewolnikami i wyrobnikami. Taki zakład zastawniczy jest możebnym w każdem miejscu, i jesteśmy przekonani zyskałby prędko zaufanie kapitalistów jako dający wszelkie gwarancje; dla rzemieślników zaś byłby prawdziwem dobrodziejstwem. Dalsze wnioski wydawania pisma i kontroli nad nierzetelnemi klientami uważamy za zbyteczne na dzisiaj, raz że pismo specjalnie szewskie nie miałoby o czem traktować, bo kunszt szewski nie ulega takim przewrotom mody jak inne, a powtóre że wydawanie pisma oddzielnego dla szewców, wpłynie na upadek innych pism perjodycznych ludowych u nas dziś wychodzących. Wszelkie rozdrabianie działań literackich na polu oświaty klas pracujących, prowadzi do tego, że żadne z nich o swoich siłach stać nie może, a temsamem dążyć do polepszenia, taniości i postępu. Lepiej już byłoby gdyby panowie szewcy obrali sobie jedno z istniejących pism za swój organ, w którym dołączane mogą być wiadomości ich fachu dotyczące.

Za to wniosek p. Szwabowskiego ze Stanisławowa, przejął strachem elegantów naszych chodzących w butach na kredyt i wywołał prawdziwe oburzenie. Jakto? mamy być pod kontrolą szewców i notowani w ich czarnej księdze? zawołali tem zatrwożeni. Jeżeli tak dalej pójdzie, a panowie majstrowie zechcą być w zamiarach swoich konsekwentni, to przyjdzie do tego, że każą nam na ulicy zdejmować z nóg niezapłacone buty — piękna perspektywa! Szczęściem, że panowie majstrowie, w toku obrad swoich oświadczyli się bardzo przychylnie o zasługach literatów i dziennikarzy i że przeto dali poznać, że zawody te w kredycie ich będą i nadal uwzględniane, inaczej bowiem, kto jak kto, ale literaci nasi mogliby się bardzo prędko znaleźć bez butów wobec swoich czytelników. Więc na punkcie tego obostrzenia proponowanego przez p. Szwabowskiego stanowczo protestujemy i prosimy, aby panowie majstrowie jeżeli chcą żyć w zgodzie z literatami, dali pokój utrzymywaniu list proskrypcyjnych swoich dłużników. A na dowód że niedaleką jest chwila „bezbucia" literackiego, przytoczymy tę okoliczność, że takie pismo jak np. „Dziennik polski", po kilku latach istnienia, znów zmienia właścicieli, albowiem bez znacznej subwencji prosperować nie może. W tych dniach nabył go pan Sawicki, notarjusz z Krosna po to, aby się borykać z losem i obojętnością czytelników lat parę. Życzymy nowej redakcji jak najlepszego powodzenia przestrzegając zarazem, iż tylko otwarty i jasny program mający za cel obronę interesów pewnej klasy ludności naszej, może nadać pismu odrębny charakter, przy którym stanie falanga jednakomyślących czytelników. Wahanie się i przechylanie od jednej opinji ku drugiej, wyradza mdłość konwencjonalną, a za nią i obojętność.

Jubileusz J. I. Kraszewskiego, wciąż jeszcze absorbuje uwagę całej publiczności, jako fakt, koło którego koncentruje się cała działalność inteligencji naszej. Kto może jedzie do Krakowa i kto może spieszy z objawami czci i uszanowania dla sędziwego jubilata. Chodzą pogłoski, że rząd Rossyjski w Warszawie zaczął robić pewne trudności w udzielaniu pasportów do Krakowa, a z drugiej strony znów, że pewna koterja krakowska usuwa się dobrowolnie od udziału w tej jubileuszowej uroczystości — wszystko to jednak nie przeszkodzi, że przyjęcie w Krakowie będzie wspaniałe, bo nawet Wydział krajowy uznał potrzebę wysłania tam swej deputacji.

Ulica imienia szanownego jubilata, energicznie już od tygodnia jest walcowaną — otwarcie jej przez prezydenta miasta nastąpi dnia 3-go padźziernika z całą uroczystością, mowami, muzyką, asystencją cechów i Rady miejskiej. P. Eder fotograf tutejszy zdejmuje widoki tego aktu z miejsc górnej i dolnej części tej ulicy, aby ten wizerunek posłać Jubilatowi na pamiątkę. Słowem, kraj cały przyjmując tak gorący udział w objawach czci zasłużonego pisarza, daje oczywisty dowód, o ile go obchodzi ta sprawa dotykająca najżywotniejszej strony życia narodowego, to jest jego literatury.... Oby tylko ten objaw mógł być początkiem zachęcającym do czynniejszego przykładania się jednostek dla rozwinięcia życia umysłowego w naszym kraju. Język i literatura bądź co bądź są i będą najważniejszym reprezentantem żywotności narodu, a sądzę że nam o to najbardziej chodzić powinno.

Robią nadzieję, że jeszcze w listopadzie będziemy jeździć po Lwowie tramwajami. Jeden tor kolei ma być przed zimą skończony, gdyż nawet miasto bierze na siebie wykonanie części robót brukarskich przy układaniu szyn żelaznych, aby tylko część jedna od stacji kolejowej do ulicy Cłowej mogła być jak najprędzej ukończoną.

TEATR.

P. d'Ennery, który zwykle pisze na współkę z p. Cormon, ma szczególną pasję do ponurych tematów. I nieźle na nich wychodzi; widocznie obecna publika po Offenbachiadach, „Lolach", „Niniche'ach" tęskni za grubemi wrażeniami w kierunku przeciwnym, za namiętnościami dzikiemi, za sytuacjami z których tylko śmierć jest wyjściem. Przyznać przytem należy, że pp. d'Ennery i Cormon oprócz niezwykłego daru wynajdywania przerażających grozą tematów posiadają inne niepoślednie jako dramaturgiczne zalety: są wtajemniczeni we wszystkie sztuczki sceniczne, umieją takowe wyzyskać i starają się na każdym kroku utrzymać fantazję widza w gorączkowem naprężeniu. Zalety te są niedostateczne, aby stworzyć dzieło genialne, wystarczają jednak w zupełności do napisania sensacyjnego utworu i do zapewnienia mu u teraźniejszej publiki długiego powodzenia. To też od dawnego czasu żaden dramat nie cieszył się takim sukcesem, jak np. „Dwie sieroty" lub „Głośna sprawa". Przedstawiony w ubiegłym ty-

godniu dramat pt. „Narzeczeni z Albano“ przynajmniej pod względem efektu wyrównywa poprzednim. Sam temat jest nadzwyczaj burzliwy: jest nim „wendeta“ i to w Kalabrji. Fantazja autora nie była krępowaną żadnemi granicami, to też nagromadził on w swojej sztuce wszystko, co może poruszyć nerwy do kurczowych drgań, a serce do przyspieszonego bicia. Rozumie się, że główną w tem rolę odegrywa sztuciec i sztylet, to też pchnięć bez liku a pukaniny bez końca. Pod względem intrygi trudno gdzie znaleźć coś bardziej zawikłanego niż w tym dramacie, plącze się ona, gmatwa tak, że nawet najdowcipniejszy widz nie może sobie wyobrazić jej rozwoju i rozwiązania. Jakkolwiek jesteśmy zawsze za skomplikowaną intrygą, czas bowiem prostych i jasnych fabuł zdaje się, że zniknął już bezpowrotnie — mimo to uważamy, że autor „Narzeczonych z Albano“ przesadził w tym kierunku i intryga jego już nie zaciekawia, ale oszołomia i nuży po części. Wszystko ratuje jednak szlachetny koloryt całej sztuki i oczywiście piękna charakterystyka osób działających, co jest główną cechą prawdziwego dramatycznego talentu.

O przedstawieniu tego dramatu, nie możemy niestety wiele dodatniego powiedzieć. Dobrymi byli tylko pp. Ładnowski, Podwyszyński i Lubicz, inni natomiast, a szczególnie p. Zamojski i panie Nowakowska i Woleńska nie stanęły na wysokości swego zadania. P. Zamojski grzeszył jakąś północną flegmą nie licującą bynajmniej z charakterem włoskim, pani Nowakowska jak zwykle zanadto pieściła się swym głosem i swoją osobą, a pani Woleńskiej kompletnie brak warunków do ról tego rodzaju, mianowicie siły głosu i energji w ruchach. Mimo to wszystko troje mieli chwile szczęśliwe, ale czyż one stworzyć mogą całość bez zarzutu? Radzilibyśmy także, aby w ogóle całą sztukę grano w bardziej przyspieszonem tempie, co bezwątpienia zgadza się z charakterem przedstawionego społeczeństwa i przyczyni się do podniesienia sztuki. *B. Cz.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Album uczącej się młodzieży polskiej poświęcone *Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu* z powodu jubileuszu jego pięćdziesięcioletniej działalności literackiej, opuściło już prasę we Lwowie staraniem i nakładem Czytelni akademickiej lwowskiej. Zawiera ono trzydzieści prac młodzieży. (Cena 5 zł.) Książka obejmuje 680 str. in 4 i 8-o litografowane tablice, wydanie bardzo ładne. Książki tej nie potrzebujemy polecać publiczności naszej tak troskliwej o uczącą się młodzież.

Bliższą ocenę dzieła podamy później.

*** Komitet do wydawnictwa jubileuszowego dzieł *Jana Kochanowskiego* ma zaszczyt upraszać pp. współpracowników, którzy przyjęli na siebie obrobienie pojedyńczych utworów poety, by swe prace rękopiśmienne nie później, jak na dzień 1 grudnia r. 1880, rzeczonemu komitetetowi, na ręce prof. Józefa Przyborowskiego, nadesłać raczyli.

*** Dzielimy się z czytelnikami naszymi doszłą nas wiadomością, iż niebawem zacznie opuszczać prasę dzieło ks. Piotra Skargi, „Żywoty świętych pańskich starego i nowego testamentu, skrócone i do użytku tak młodych, jak i starszych, zastosowane.“

*** Wspominaliśmy już iż *Neue Illustrirte Zeitung* pomieściła portret i życiorys Kraszewskiego.

Ostatni znów numer wiedeńskiej „Deutsche Zeitung“ zawiera feljeton pióra dr. J. Meissnera o Kraszewskim.

Rzecz dla naszego pisarza wielce sympatyczna.

*** Świeżo opuściła prasę dwutomowa powieść J. I. Kraszewskiego, p. t. „Lublana;“ drukowaną ona była poprzednio w „Bluszczu.“

Wyszła też z druku komedja w dwóch aktach, napisana oryginalnie pod tytuł.: „Przyjaciele Hioba“ przez El-y'ego (Asnyka). Utwór ten był w swoim czasie także już zamieszczonym w rzeczonem piśmie.

*** W ostatnim numerze „Ateneum“ mieści się początek pracy młodego badacza dziejów ojczystych p. Teodora Wierzbowskiego.

Tytuł tej pracy jest następujący: „Zabiegi cesarza Maksymiljana II. o koronę Polską“ (okres lat 1565 — 1576).

Jestto streszczenie materjałów zebranych w archiwum cesarskiego domu, dworu i państwa w Wiedniu, gdzie obecnie pan Wierzbowski, przebywa w celu poszukiwań naukowych.

P. Wierzbowski jest wychowańcem warszawskiego uniwersytetu, po ukończeniu którego został wysłany jako stypendysta za granicę.

*** Edward Lubowski napisał nową czteroaktową komedję p. t. „Sąd honorowy“.

*** „Strathmore“, najnowsza powieść Onidy, tłómaczoną jest na język polski.

*** Aleksander Dumas rzuca rękawicę... jezuitom? Pracuje on obecnie nad dziełem, którego bohaterem ma być „nowożytny Tartuffe“.

Pierwotnie zamierzał autor przedmiot swój obrobić dla sceny, ale nie był pewnym, czy który z teatrów francuskich przyjmie tę „nową herezję“, więc nie chcąc się niczem krępować, zdecydował się wreszcie na formę romansu.

Główną figurą powieści jest młody człowiek, który z prawdziwego pietyzmu i powołania wstąpił do zakonu jezuitów, nie wdziewając sukienki zakonnej.

Ojcowie polecają mu starać się o rękę pięknej i niezmiernie bogatej dziedziczki, którą nadto ma nawrócić na wiarę katolicką.

Młody człowiek zabiera się do spełnienia tego rozkazu z niewielkim zapałem, ale z głębokiem poczuciem obowiązku i posłuszeństwa.

Równie, jak on zagorzałym katolikiem, ona jest zagorzałą protestantką; w walce o zasady i przekonania nie mogą się długo pokonać.

Ojcowie zaś postanowili „à tout prix“ pozyskać bogatą owieczkę o złotem runie, więc swojemu pośrednikowi każą — uwieść ją.

Młody człowiek godzi się, jedynie z posłuszeństwa dla zakonu.

Co dalej będzie — niewiadomo jeszcze, bo autor dopiero do tego punktu rzecz swoją doprowadził.

Miły początek!

*** Na ostatniem posiedzeniu biologiczem w Warszawskiem Towarzystwie lekarskiem, po wyczerpujących rozprawach o wywożeniu nieczystości, przemawiał dr. Mayzel o potrzebie i pożytku badań mikroskopijnych w celach hygienicznych. Badania te z wielkim skutkiem zastosować się dadzą mianowicie do wody, przy ich też pomocy odkryto w Niemczech grzybek, mocno wodę zanieczyszczający; dr. Mayzel przekonał się, że grzybek ów znajduje się i u nas, należy go więc śledzić i szerzeniu się jego zapobiegać.

Czystość wody wogóle mikroskopem najlepiej da się ocenić, w każdym razie sposób ten jest najprzystępniejszy, użyć go może i nie specjalista i wykryć najdrobniejsze cząsteczki i żyjątka w płynie znajdujące się.

Doświadczenia z mikroskopem są w wysokim stopniu nauczające i zarazem ciekawe, one mogą stać się przedmiotem zajęć towarzyskich i praktyczną drogą do obeznania ogółu z wielu blisko nas dotyczącemi objawami; należy tedy użycie mikroskopu rozumieć i popularyzować.

*** W Baden Baden Zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich obrał sekretarzem sekcji fizyki i meteorologji ziomka naszego dra Zygmunta Wróblewskiego, docenta w Strasburgu; z rodaków naszych czytali tam rozprawy oprócz dra Wróblewskiego, dr. A. Jurasz w Heildebergu, i dr. J. Warszauer z Krakowa.

*** Wprowadzenie nowego porządku egzaminacyjnego dla lekarzy w Prusach, które miało wejść w życie z dniem 1 październipa r. b., odłożone zostało do roku przyszłego z powodu niedopełnienia pewnych formalności.

*** W Paryżu wydawany „Bulletin de la société de géographie“ zawiera następującą wiadomość o najwyżej położonych punktach kolei żelaznych w całym świecie: W Apeninach kolej dochodzi do wysokości 617 metrów nad powierzchnią morza; w Szwarcwaldzie najwyższy punkt kolei wznosi się na 850 stóp nad poziom morza: na Semmeringu 890, na kolei kaukaskiej 975; tunel gotardzki 1154, Mont-Cenis 1338; Brennerbahn 1367; na północnej kolei oceanu Spokojnego punkt najwyższy 1652; na centralnej kolei oceanu Spokojnego 2410; na kolei Union-Pacific 2513; kolej zaś w Audach dochodzi aż do 4769 metrów nad powierzchnią morza.

Prasa perjodyczna.

*** Dwutygodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji i lingwistyce, w zeszycie II. za m. wrzesień 1879, zawiera: I. Zamek na Wawelu i muzeum narodowe, przez T. Ziemęckiego. II. Wykopalisko we wsi Starkowie, opisał Romuald Erzepki.

*** Z Chin. Najdawniejszą niezaprzeczenie w prasie całego świata jest gazeta „King Pao“, znana przez cudzoziemców pod nazwą „Gazety pekińskiej“. Jestto organ rządowy, wychodzący od 10, lub może od 12 wieków. Istniał on już za dynastji Tangów, która panowała od 7. do 10 wieku ery chrześciańskiej.

Prócz tej gazety wychodzą w Chinach dzienniki prywatne, między któremi pierwsze miejsce zajmuje „Shun Pao“, liczący 8000 prenumeratorów. Wydaje go w Szangaju, p. Ernest Major, Anglik. „Shun Pao“ drukowany jest na arkuszu cienkiego papieru; długość jego wynosi około 96 centymetrów, szerokość zaś 60 centymetrów. Numer pisma złożony jest wzdłuż we dwoje, ma więc kształt dwóch wstęg papierowych, drukowanych tylko z jednej strony. Treść jego rozmaita: mieszczą się tam artykuły wstępne, rozumowane, traktujące o polityce zagranicznej i o sprawach wewnętrznych; są nowiny z miasta i prowincji, oraz wiadomości urzędowe, czerpane z „Gazety pekińskiej“, — nareszczie mają tam dział swój reklamy i ogłoszenia.

Powodzenie „Shun Pao“, wydawanego w duchu liberalnym, wielce przyjaznym dla żywiołów cudzoziemskich, wywołało chęć współzawodnictwa. Jakoż Chińczycy założyli dwa pisma, podobne zewnętrznie do dziennika p. Ernesta Majora, lecz mające wręcz przeciwne dążności.

Kiedy w r. 1875 umarł młody cesarz Tungczi, wydawca „Shun Pao“ na znak żałoby wydrukował farbą błękitną numer, zawierający smutną wiadomość; następnie, po wstąpieniu na tron Kuanga-su, doniósł o tym szczęśliwym wypadku na papierze różowym, używszy tym razem zwykłej masy drukarskiej, koloru czarnego. Przeciwnie, dziennik chiński „Wei Pao“, naśladując współzawodnika, lecz, chcąc wyróżnić się przytem, wydrukował na zwykłym papierze wiadomość o wstąpieniu na tron, czerwonemi literami. Ale ani „Wei Pao“, ani „I Pao“, dwie współzawodniczki z „Shun Pao“, gazety chińskie, nie mogły zapewnić sobie trwałej egzystencji. Jedynie „Sin Pao“, wychodzący codziennie, utrzymał się dotychczas i liczy obecnie kilkuset prenumeratorów — lub, mówiąc właściwiej, wychodzi w kilkuset egzemplarzach. Wydają go urzędnicy chińscy. „Sin Pao“ odznacza się szczególniej „kaczkami“ dziennikarskiemi, kierunkiem reakcyjnym i niechęcią względem cudzoziemców. Numer każdy składa się z ośmiu stronnic, w formie zeszytu, w okładce żółtej.

Staraniem Europejczyków i pod ich redakcją, wychodzą inne jeszcze pisma perjodyczne, jako to: przeglądy naukowe, krytyczne, religijne, ilustrowane i t. p. Współpracownikami tych pism są Chińczycy. W ogóle jednak wziętość tych wydawnictw bardzo niewielka, a niektóre, z powodu braku czytelników, zawieszone zostały.

Teatr.

*** Słyszeliśmy, iż Królikowski zaproszony został na występy gościnne do Pragi, dokąd też był wzywany i p. B. Ładnowski.

W operze praskiej śpiewa obecnie stale Mieczysław Kamiński, znany tenorzysta, przed rokiem gościł tam Juljan Zakrzewski.

Nasi artyści w stolicy Czech cieszą się wielkiem uznaniem.

*** „Echo“ donosi, iż p. Jan Komierowski, Warszawianin, obdarzony pięknym głosem barytonowym, został pensjonarzem wielkiej opery paryskiej „(pensionnaire de l'académie nationale de musique)“.

*** Kraszewski ofiarował na teatr poznański 400 marek, zawiadamiając zarazem, iż w zimie wygłosi dwa odczyty na rzecz dalszego subwencjonowania teatru.

Szkoły.

*** W Mount-Lee w Anglji buduje się kosztem Tomasza Hollowaya, bogatego właściciela dóbr, wyższy zakład naukowy dla dziewcząt. Koszta wzniesienia budynku wyniosą 257.000 funtów szterlingów (około trzy miljony fl.) Kolegjum dziewcząt będzie odpowiednio uposażone.

*** W Saksonii zrobiono w tym roku próbę, która, jak donoszą dzienniki miejscowe, powiodła się bardzo dobrze i w przyszłości powinna znaleźć szerokie zastosowanie. Szło mianowicie o założenie kolonii dla dzieci, podczas wakacji. Myśl tę nasunęła okoliczność następująca:

Podczas ostatnich egzaminów w Dreźnie zauważono, iż pewna liczba dzieci wygląda bardzo mizernie; jeden z asystentów mówił o tem z prezesem Towarzystwa hygienicznego, który wyraził opinię, że należałoby urządzić dla uczniów mieszkania letnie, na czas, wolny od zajęć naukowych. Według tego planu, dzieci biedne, a wątłego zdrowia, kształcące się w szkołach miejskich, powinnny być wysłane podczas wakacji na wieś, aby mogły używać ruchu na świeżem powietrzu pod opieką swych nauczycieli, tudzież pod zwykłym dozorem szkolnym. Przytem trzeba, żeby miały tam pożywienie zdrowe i mieszkanie czyste, suche, a dość przestronne.

Wskutku powyższego wniosku, ustanowiony niebawem został komitet, który na koszta proponowanych kolonii zebrał 5400 marek. Szkoły przedstawiły 280 dzieci. Z tej liczby wybrano 36 chłopców i 30 dziewcząt. Lekarze wskazali najodpowiedniejsze miejsce dla takich osad dziecinnych. Na pierwszy raz sposobem próby urządzono sześć kolonii.

Ćwiczenia gimnastyczne, na wolnem powietrzu, długie przechadzki, oblewanie zimną wodą, w połączeniu z odżywianiem się prawidłowem, przyniosły rezultat nader pomyślny. Po trzech tygodniach pobytu na wsi, dzieci wróciły znacznie zdrowsze i silniejsze. Okazało się, że niesłusznie obawiano się, aby dzieciom chorowitym, lub delikatnej budowy ciała nie zaszkodził taki tryb życia. Przeciwnie, badanie lekarskie, wykonane zaraz po powrocie uczniów do miasta, dowiodło, że gdy zwykle dziecku od lat 8 do 13 przybywa w tymże przeciągu czasu zaledwie pół funta ciężaru, — większa część dzieci, bawiąca w koloniach szkolnych, zyskała po 1 i pół funtów wagi. Słabszym tylko, które nie mogły dużo chodzić, a więc nie brały dostatecznego udziału w wycieczkach, przybyło 1 i pół wagi. Zato cięższe najzdrowszych dzieci, które piły mleko i więcej jadły, niż inne, zwiększył się do 12 funtów.

Przekonano się również, że u wszystkich dzieci rozszerzyły się piersi, a zwłaszcza u tych, które w lesie oddychały żywicznem powietrzem i chodziły po górach. U pewnej liczby dzieci rozszerzenie piersi doszło do 6 centymetrów. Jednocześnie znikły zapalenia oczu, bladaczki, stan kataralny i t. p.

Ze swej strony nadzorcy uczniów w koloniach opowiadają, że dzieci, które zrazu w czasie przechadzek musiały przyzostawać z powodu zbytniego znużenia, później stopniowo zyskiwały coraz większą siłę muskułów i mogły w końcu odbywać dłuższe wycieczki bez żadnej przykrości.

Próba zatem powiodła się najzupełniej—i wróży z czasem szeroki rozwój koloniom szkolnym, nietylko w zakładach naukowych drezdeńskich, ale także w innych miastach i krajach.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Rząd hiszpański zamierza przedłożyć projekt ustawy, według którego emancypacja niewolników nastąpiłaby z lipcem 1880 r.; jednakowoż niewolnicy mają być obowiązani pracować jeszcze siedm lat dla swych panów za wynagrodzeniem.

*** We wsi Kisfalu koło Koszyc odbył się w tych dniach kongres cyganów węgierskich; głównym punktem porządku dziennego było „zbadanie wspólnych interesów cyganów."

*** W Agric. Hall odbył się w ubiegłym tygodniu sześciodniowy wyścig welocypedystów. Zapaśnicy w ciągu tego czasu musieli jechać welocypedem po 18 godzin dziennie, a chodziło o to, kto w ciągu tych 108 godzin przebieży najdłuższą drogę. Z ośmiu bicyklistów, którzy wzięli udział w wyścigu, Waller z Newcastle zrobił w tym czasie 1404 mil angielskich, Terront mil 1390, Hingham 1145, Cann 1100, Pagis 972, Tusher 736, Leeming 650, a Andrews 386. Waller i Terront w ciągu ostatnich 18 godzin wyścigu zrobili po 220 mil angielskich, nie zsiadając ani na chwilę z welocypedów, a nawet obiad spożywali jadąc.

*** W Amsterdamie wycieczka balonem z pałacu wystawy, uskuteczniona w dniu 14 z. m., zakończyła się tragicznie. Balon spadł niespodzianie. Pani Fanny Godard i oficer Kerel, którzy siedzieli w łodzi, ponieśli wiele ran.

*** W Neapolu odsłonięty będzie pomnik znanego pianisty i kompozytora, Zygmunta Thalberga, zmarłego tam w dniu 26 kwietnia.

*** Pogrzeb zmarłego mecenasa sztuk pięknych br. Taylora odbędzie się kosztem rządu francuskiego.

*** Erightońskie akwarjum nabyło dwa wspaniałe egzemplarze *Monatees*, które przed niedawnem sprowadzono z górnej części rzeki Amazonki w południowej Ameryce. Oba te stworzenia, męzkiego i żeńskiego rodzaju, ważą obydwa 700 funtów. Są to jedyne dwa żyjące monatees w Europie.

*** Z Chin. Następującą wiadomość, nadesłaną do Petersburga, zamieścił paryski „Globe." Dr Regel, zajmujący stanowisko rządowego botanika w Taszkencie, udał się był przed kilku tygodniami, w kółku przyrodników, między którymi znajdował się także jeden oficer sztabu, — na herboryzację, w okolicy chińskiej głównej kwatery w Chikho. W paszporcie tego uczonego najwyraźniej było wymienionem, że wyprawa ma cel czysto naukowy; pomimo to jenerał Tso-Tsun-Tan uznał za właściwe zatrzymać podróżne grono i odesłać napowrót do granicy. Dr Regel protestował przeciw takiemu postępowaniu, twierdząc, że przecież wyprawa miała na celu rzecz tak niewinną, jak botanika, na to jednak jen. Tso-Tsun-Tan odpowiedział, że już sami Chińczycy zbadali wszystko, co było ciekawego do zbadania na terytorjum chińskiem; więc, skoro uczony doktor życzy sobie zasięgnąć jakich informacji, niech uda się do rządowego towarzystwa botanicznego w Pekinie, a otrzyma ztamtąd żądane wiadomości.

*** Z krainy duchów!

Najnowszem dziwactwem spirytyzmu, pozostawiającem daleko za sobą wszystko, na co dotąd wyegzaltowana fantazja mistyków zdobyć się potrafiła, jest „małżeństwo w krainie duchów", jakie odbyć się w tych czasach miało pomiędzy córką niejakiego Izaaka Eatona z Leavenworth, w stanie Kansas, zmarłą przed trzydziestu laty, jako trzytygodniowe dziecko, a Benjaminem Pierce, który jako chłopiec dwunastoletni przed dwudziestu sześciu latami życie postradał, wskutek wypadku na kolei żelaznej.

Uroczystość tę z najdrobniejszemi szczegółami opisują rozmaici świadkowie, należący naturalnie do zagorzałych zwolenników spirytyzmu.

Wymienione tam są nazwy zaproszonych na wesele gości z krainy duchów; panna młoda miała na sobie jasno-zieloną suknię, oblubieniec, syn nieboszczyka Franclina Pierce, czternastego prezydenta Stanów Zjednoczonych, tańczył w czarnym oczywiście fraku i białej kamizelce.

Spodziewać się więc teraz wypada, że następną uroczystością spirytystów będą niezadługo „chrzciny w państwie duchów."

*** Poezja na cześć konia.

Panna Eliza, arcyśmiała woltyżerka cyrków Renza i Salamonsky'ego znana nawet wszechstronnie hippomanom warszawskim, straciła w tych dniach w Paryżu konia swego, słynnego skoczka — „Lorda Byron'a."

Zgon ten poczciwego zwierzęcia gorącemi łzami opłakiwali sportsmani, a jeden z nich nawet w którymś z dzienniczków francuskich zaznaczył tę smutną datę... rymem!

Hymn ten — słuchajcie — na żółtym papierze z czarnemi obwódkami nosi tytuł: *„Mort de Lord Byron."*

Początkowa jego strofa jest następującą;

„Beau cheval favori, qu'une royale main
Avait daigné manier dans un jour de lirysme
Equestre, te voilà donc mort!... d'un anevrisme
Hélas! des plus grands coeurs c'est l'habituel destin."

Wzniosła rzecz ta kończy się zaś słowy:

„W historji imię twoje nie zginie —
W nieśmiertelności błyszczysz koronie
O ty szlachetny! ty wielki w czynie
Śpij mój rycerzu „Lordzie Byronie."

Wiecej nic — zapyta czytelnik?

*** Przestroga!

Smutną przestrogą dla krających chleb w bochenku może być pożałowania godny fakt, który przed kilkoma dniami zdarzył się w Berlinie.

Dziewiętnastoletnia córka adwokata H., przy krajaniu bochenka, który przyciskała do piersi, skaleczyła się w pierś tak niebezpiecznie, że lekarze nie dają nadziei utrzymania jej przy życiu.

Podobny wypadek zaszedł też niedawno w jednem z miast angielskich.

*** W Paryżu ukończono zupełnie prace około wzniesienia kosztem państwa pomnika na cmentarzu Père-Lachaise; w mauzoleum mieścić się będą zwłoki 2,000 żołnierzy zabitych w roku 1870—71 podczas oblężenia Paryża.

*** W Dusseldorf w tych dniach sprzedano na licytacji dom, w którym się urodził w roku 1799 Henryk Heine: nabył go pewien rzeźnik za cenę 70,000 marek.

*** W Neapolu z haremu wice-króla Egiptu, Ibrahima paszy, bawiącego tam obecnie, usiłowało w zeszłym tygodniu wymknąć się kilka odalisek, a to podczas kąpieli w morzu; dozorcy haremowi ujęli je bezzwłocznie.

*** Wielki tunel pod rzeką Severn w Anglji, nad którego wykuciem pracują już od pięciu lat, obecnie jest na ukończeniu; robotnicy pracujący około wybicia tunelu z obu stron rzeki słyszą teraz huk eksplozji zakładanych min i stuk pracujących maszyn parowych.

*** Według ostatecznych urzędowych obliczeń, straty spowodowane powodzią w Szegedynie wynoszą 12 miljonów guldenów.

*** Stan winnic w południowym Tyrolu w tym roku zdaje się być wyjątkowo świetnym.

*** Tama portowa w Gałaczu, niedawno wzniesiona bardzo znacznym kosztem, zapadła się w tych dniach na przestrzeni 182 metrów.

Wynalazki i odkrycia.

*** Z Saratogi w Stanach-Zjednoczonych donoszą, że Edison wynalazł nowy przyrząd, mający na celu udoskonalenie telefonu. Dnia 1 września odbyła się w wielkiej sali próba, której rezultat przewyższył najśmielsze oczekiwania. Tysiąc zgromadzonych słyszało najdokładniej, bez pomocy trąbek, wymawiane słowa i śpiewane pieśni, ze znacznej odległości, zupełnie tak, jak gdyby osoby mówiące i śpiewające znajdowały się w tymże samym pokoju.

*** Jak daleko sięgać może światło elektryczne? Przeszło na wiorst jedenaście, jak dowodzi doświadczenie, podane w „Przyrodzie i przemyśle":

Dwunastego lipca r. b. o wpół do dziesiątej wieczorem, na wieżyczce hotelu Grand Union w mieście Saratoga Springs w stanie Nowego Yorku robiono doświadczenia z lampą elektryczną p Maxima, celem przekonania się, jak daleko sięga siła jej światła. Ku temu użyto nie soczewek, ale parabolicznego zwierciadła; lampa zaś urządzona została w ten sposób, że końce węgli leżały tuż obok siebie, ściśle w ognisku odbijającego zwierciadła.

Światło skierowano na umówiony punkt w Ballston Spa, o 7¼ mil angielskich (11 wiorst, 156 sążni) odległy, gdzie zebrało się umyślnie kilkaset osób. Światło było tak silnem, tak doskonale skupionem i przesłanem, że owa miejscowość w Ballston nagle tak oświetloną została, iż druk zwyczajny doskonale czytać można było, widzieć godzinę na zegarku itp. Noc była cicha i ciemna. Jest to największa odległość, do jakiej dotąd światło lampy elektrycznej w tym stopniu sięgnąć mogło.

Handel i przemysł.

*** Wkrótce w Grodnie, w biurze zarządu dóbr państwowych, odbędzie się licytacja na sprze-

daż z porębów puszczy białowiezkiej 123,884 sztuk drzew sosnowych, wartości 310,000 rs.; zwracamy uwagę na tę olbrzymią licytację.

*** Węgierski bank kredytowy, postanowił utworzenie filji w Bośnji i Hercegowinie, oraz zbadanie tamtejszych warunków gospodarczych i projektów kolejowych.

*** W Pradze w dniu 6 października zbierze się na obrady sejmik izb handlowych; zapowiedziało swój udział dwadzieścia izb.

*** Mająca się odbyć w Brukselli w roku 1880 narodowa wystawa belgijska otworzoną zostanie 15 czerwca 1880. a zamkniętą w dniu 16 października; wystawa ta obejmie produkta rolnictwa, ogrodnictwa i przemysłu belgijskiego.

*** W Londynie założono niedawno akcyjne towarzystwo tresowania psów do polowania z kapitałem zakładowym 150,000 franków. Towarzystwo zbudowało dla swych wychowańców klatki za sumę 50.000 franków, oraz wydzierżawiło prawo polowania za opłatą 125,000 franków. Towarzystwo zamierza sprzedawać rocznie 150 poenterów i seterów, po przeciętnej cenie 125 franków za dwumiesięcznego, a 250 za czteromiesięcznego.

OBJAWY PAMIĘCI.

Znaczenie i doniosłość pamięci wszystkim są znane. Pamięć jestto władza ducha, za pomocą której przywołujemy wrażenia i myśli, jakie nam z pod świadomości naszej usuwają się. Wszyscy nadajemy wysokie znaczenie dobrej pamięci, tem tylko bowiem duchowo posługiwać się możemy, co nam w niej trwalej utkwiło.

Już starożytni pracowali nad sztuką kojarzenia myśli i utrwalenia wiedzy, czyli tak zwaną mnemoniką, którąto metodę i w naszych czasach uczeni, jak Mailart, Reventlow, a u nas Jaźwiński, starali się rozkrzewić i zastosować. Mimo to, istota pamięci, jej siła i działanie jak przed wiekami, tak i obecnie jest zawsze zagadkową. Zkąd np. pochodzi, że jedni silną, drudzy słabą obdarzeni są pamięcią? Z jakich przyczyn pamięć w rozmaitych czasach raz mniej, raz słabiej objawia się? Dlaczego jedni pewne rzeczy dłużej i łatwiej, inne krócej i trudniej w pamięci zatrzymują? Co nareszcie powoduje, że niektóre fizyczne cierpienia ujemnie na trwałość pamięci oddziaływają? Są to wszystko pytania, które pomimo dokonywanych w tym kierunku badań pozostały na hypotezach tylko oparte.

Z pomiędzy wielu rodzajów pamięci czyli władzy uprzytomniania pewnych przedmiotów i myśli jest wprawiająca nieraz w podziw zdolność łatwego spamiętania liczb. Czytelnicy sami może mieli sposobność przekonania się, jak nieraz indywidua miernych zkądinąd duchowych usposobień dawały dowody wysokiej w tym razie biegłości. Zdumiewa niekiedy zdolność spamiętania całych szeregów liczb, a nawet kombinacyj rachunkowych. Dowody zadziwiającej tego rodzaju biegłości składał publicznie w nowszych czasach po miastach niemieckich niejaki Zacharjasz Dase. W roku bież. popisywał się publicznie w Wrocławiu i Berlinie 7-letni Maurycy Frankl, rodem z komitatu baranyańskiego w Węgrzech. Dziecko to, nie umiejąc czytać ani pisać, dodaje, odejmuje, mnoży i dzieli zadane mu liczby z 6—9 cyfr złożone, wyciąga pierwiastki, podnosi do 3, 4 i 5 potęgi i t. p. Równą bystrością pamięci odznaczał się Karol Otto Reventlow, twórca nowego systemu mnemoniki i Herman Kothe, który także w udoskonaleniu tej sztuki znakomite położył zasługi.

W dawniejszych czasach wysoką zdolność spamiętania liczb uwydatnił angielski matematyk John Wallis, ur. 1616, ten bowiem zatrzymywał w pamięci nietylko szereg z 53 liczb złożony, ale nadto był w możności obliczenia z tychże liczb pierwiastku kwadratowego, co każdego, komu ten rachunek nie jest obcym, w podziw wprawiać musi; inny Anglik, Jerzy Wattson, człowiek nizkiego stanu i surowy, mógł przytoczyć z pamięci dzień i rok najmniejszego wydarzenia, jakie go w życiu spotkało.

Pamięć językowa, a ztąd łatwość wyuczenia się obcej mowy, uważana być może równie jako szczególny dar ducha. Dwóch w tym kierunku możemy tu przytoczyć koryfeuszów: Mitrydatesa VI, zwanego Wielkim, króla Pontu, którego Pompejusz w r. 66 przed Chrystusem pokonał nad Eufratem — i zmarłego w Neapolu 1849 r. kardynała Józefa Mezzofanti. Pierwszy, bystry polityk i mąż wysoko wykształcony, z łatwością władał 23 językami, tyluż pod jego berłem zostających ludów. Drugi posiadał bezprzykładną dotąd łatwość wyuczenia się i władania obcemi językami. Już podczas pobytu w seminarjum duchownem w Bolonji nabył dokładnej znajomości języka łacińskiego, greckiego, hebrajskiego, arabskiego, francuskiego, niemieckiego i szwedzkiego. Od r. 1809, czyli daty otrzymania katedry przy uniwersytecie bolońskim, zbogacał z każdym rokiem swoją wiedzę językową, tak, iż w roku 1833, uzyskawszy posadę sekretarza kolegjum propagandy, a wkrótce potem pierwszego bibljotekarza watykańskiej książnicy, posiadał już 53, często zupełnie różnorodnych języków, z których ważniejsze: portugalski, angielski, holenderski, duński, polski, rosyjski, czeski, serbski, węgierski, turecki, rumuński, albański, bułgarski, iliryjski, łotyszski, lapoński, perski, kurdyjski, gruziński, chaldejski, koptyjski, etiopski, sanskrycki i wiele azjatyckich i afrykańskich gwar i narzeczy. Wprawdzie, nie można się dziwić, że uczony ten mąż, pracując na takim lingwistycznym obszarze i tem samem nie mogąc wniknąć w ducha każdej mowy, musiał poprzestawać na powierzchownej jej znajomości.

Obok tego rodzaju przykładów niezwykłej potęgi pamięciowej słabną inne, choć równie zadziwiające w rezultatach. Niektóre z nich wszelako przywiedziemy. Uczony historyk i prawnik angielski, John Kemble, odznaczał się tak dzielną pamięcią, że przeczytawszy jeden z największych dzienników, *Morning Post*, mógł go z pamięci cały dosłownie powtórzyć.

Żyjący w drugiej połowie przeszłego stulecia w Westfalji włościanin, Piotr Klostermeier, usłyszane w kościele kazanie, powróciwszy do domu, tak wiernie spisał, iż po porównaniu z rękopismem plebana, nie brakło w nim ani jednego wyrazu.

Znakomity w XV wieku filolog włoski, Juljusz Scaliger, po jednokrotnem przeczytaniu stu wierszy łacińskich, mógł powtórzyć je z pamięci bez zająknienia. Podobnież filozof rzymski, Seneka, urodzony w Kordubie, w drugim wieku po Chrystusie, bez zmyłki powtórzył tysiąc raz usłyszanych wyrazów. Równie zadziwiającą pamięcią odznaczał się uczony polihistor włoski, Antoni Magliabechi, w XVII żyjący wieku. Jeden z przyjaciół, chcąc się przekonać o rozgłośnej jego pamięci, dał mu do przeczytania swoją, w rękopiśmie, dość obszerną rozprawę, z prośbą o poczynienie nad nią uwag. Magliabechi po przeczytaniu rękopism zwrócił. Wkrótce jednakże ów przyjaciel doniósł mu listownie, że rękopism owej rozprawy zaginął; czyby zatem Magliabechi nie mógł mu powtórzyć go choć w treści. Usłużny uczony, naówczas bibljotekarz Kozmasa III. wielkiego księcia Toskanji, zasiadłszy przy stole, wiernie z pamięci skreślił od początku do końca cały ten traktat, który, jak się okazało, był dosłowną kopją owego niby zaginionego rękopismu.

Historycy powiadają, że potężny Cyrus, król Persów, żyjący w VI wieku przed Chrystusem, znał po nazwisku każdego swojej licznej armji żołnierza. Pewien, przed 50 laty w amerykańskim stanie Massahusetts żyjący lekarz, umiał na pamięć cały poemat Miltona „Raj utracony". Zmarły w 1783 roku dyrektor wydziału matematycznego akademji petersburskiej, sławny matematyk Bernard Euler, utraciwszy wzrok w starości, nietylko że powtarzał z pamięci całą „Eneidę" Wirgiljusza, ale nadto był w możności oznaczyć pierwszy i ostatni wiersz stronicy książki, z której przed swoją ślepotą czytał zwykle wspomnioną epopeję. Przed 40 laty w angielskiem mieście Stirling żył żebrak, nazwiskiem Alick, który całą biblję umiał na pamięć, i to w ten sposób, że mógł oznaczyć księgę, rozdział i wiersz wypowiedzianego ustępu. Gdy ktoś kazał mu powtórzyć dziewięćdziesiąty wiersz siódmego rozdziału, czwartej księgi, Mojżesza, Alick bez wahania odpowiedział: „Takiego wiersza nie ma, wspomniony bowiem rozdział liczy tylko 89 wierszy".

Obok tak wyjątkowo objawiającej się mocy pamięci zdarzają się przeciwnie przykłady, w których, skutkiem choroby lub nadwerężenia mózgu, pamięć zupełnie znika lub przynajmniej dziwne przedstawia anomalje. Jeden z uczonych lekarzy niemieckich, w dziele swojem o fizjologji, wspomina o pewnym chorym, który, wskazując na papier, nazywał go węglem i przeciwnie, węgiel mianował papierem. Inny chory, trudniący się przez wiele lat handlem wina, swoją tabakierkę nazywał butelką. Osiadły w Nowym Yorku włoski lekarz, Scandella, dotknięty cierpieniem żółtej febry, w pierwszem stadjum tej choroby używał tylko języka angielskiego, gdy gorączka powiększyła się, mówił tylko po francusku, a na krótko przed śmiercią, wyłącznie po włosku.

Inny, skutkiem dotkliwych cierpień nerwowych, zapomniał nazwisk wszystkich swoich przyjaciół i znajomych, dokładnie jednakże pamiętał ich wiek i inne okoliczności życia. Pewna kobieta w badeńskiem, długoletnią dręczona migreną, zapomniała nazwy sprzętów domowych, a chcąc których użyć, palcem tylko na nie wskazywała. Angielski lekarz Winslow pamiętał niekiedy swoje nazwisko, nie pamiętał jednakże miejsca swego zamieszkania i przeciwnie; często więc na ulicy zatrzymywał przechodniów, mówiąc: Jestem dr. Winslow, nie mógłbyś mi pan wskazać, gdzie ja mieszkam?"

Liczne są bardzo przykłady takiej cząstkowej pamięci; ważniejsze tylko przywiedziemy. Pewien żołnierz francuski, raniony w głowę podczas wojen napoleońskich, zapomniał w zupełności liczb 5 i 7 i wszystkiego równie co z temi liczbami mogło mieć związek. Jeden dramaturg hiszpański zapomniał tytułów swoich utworów i niekiedy pytał się o ich autora.

Z tych wszystkich objawów braku lub niedostatku pamięci, najczęściej chorobliwym stanem wywołanych, najdziwaczniejszą jest chwilowa nieprzytomność umysłu czy roztargnienie. Mnóstwo takiego roztargnienia przykładów dałoby się przytoczyć, rozwiązanie ich wszelako będzie zawsze fizjologiczną zagadką, całe bowiem duchowe nasze życie pokrywa opona, którą zaledwie uchylić możemy, zupełnie bowiem jej usunięcie siły nasze przechodzi. Takiej chwilowej nieprzytomności umysłu choć jeden przykład przytoczymy.

Hr. Brancas, przyjaciel księcia Franciszka de Larochefoucauld, autora dzieła „Maximes et réflexions morales", siedząc raz w swoim gabinecie, trzymał na ręku przyniesionego mu przez mamkę małego wnuczka. W tem wszedł do niego Larochefoucauld. Brancas roztargniony, sądząc, że trzyma w ręku książkę, rzuca dziecko na stół i biegnie na spotkanie przyjaciela. Dopiero płacz malca przywiódł go do przytomności i uznania swej dziwacznej pomyłki.

Innym razem, Larochefoucauld, spotkawszy go na ulicy, zbliżył się doń dla powitania. „Idź z Bogiem, rzecze z gniewem Brancas, biorąc go za żebraka, nie nudź mnie swojemi prośbami. Takim próżniakom nic nie daję!" Głośny wybuch śmiechu wyprowadził go dopiero z błędu.

Słynny angielski malarz-satyryk, Hogarth, zaproszony raz na obiad do jednego z bogatych miłośników sztuki, nagle obrócił się z krzesłem plecami do współbiesiadników i w takiej postawie głęboko zamyślony czas jakiś pozostawał, poczem znów, jakby nic nie zaszło, właściwe zajął przy stole stanowisko. *Gr.*

Treść Nr. 36. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.